



## *Mądry Polak przed szkodą*

Nie zwykłem popularyzować polityków ani pisać im laurek. Staram się objaśniać rzeczy i sprawy takimi jakimi są, pokazywać mechanizmy, odkrywając to co dla wielu niewidoczne. Taka jest misja Profesora, taka jego służba. Dla Pana Premiera Jarosława Kalinowskiego robię wyjątek – świadomie i bez emocji, a przede wszystkim z potrzeby rozumu. Wywiad – rzeka, zamieszczony poniżej jest diariuszem doświadczeń aktywnego, zaprawionego w bojach posła, wicepremiera, ministra, wicemarszałka Sejmu, w końcu europosła, który walczy, przekonuje, odnosi sukces w sprawie tyleż ważnej, co przez wielu nie rozumianej i nie docenianej. Z perspektywy minionego 10-lecia członkostwa Polski w Unii Europejskiej pokazana została cała dramaturgia walki o sprawy rolnictwa, obszarów wiejskich i rynków rolnych w aspekcie ekonomiczno-produkcyjnym, finansowym i społecznym w okresie tuż przed akcesją Polski do Unii Europejskiej.

Kto walczył? Kogo przekonywał? Skąd czerpał motywację i wiedzę? Czytelnik dowie się jak wicepremier i minister przekonywał premiera i ministrów: finansów, spraw zagranicznych i wiele innych osób do spraw wydawało by się oczywistych, a jednak w praktyce, jak się okazało dla wielu, bardzo dalekich, wręcz obcych. **Mniej może jest ważne, że w końcu bohater nasz wygrał, że historia przyznała mu rację, ale ważniejsze jest, że zachował godność posła i orędownika spraw trudnych, w których słuszność nie tylko wierzył, ale ją rozumiał bo był „nie z soli, ale z tego co boli”** jakby powiedział nasz Stefan Czarniecki. Pragnę przeto, komplementując pana europosła za jego odwagę, pryncypialność i zmysł polityczny uzupełnić komentarzem poniższą wypowiedź tym co mogę nazwać osnową, swoistą intelektualną ramą poglądów zbieżnych, ale nie tak samo powiedzianych.

Przed wszystkim chciałbym zwrócić uwagę, że nie zawsze mamy świadomość, iż walcząc o konkretyzację i egzemplifikację jakiegoś postulatu „mówimy prozą” o sprawach teoretycznie doniosłych. Walczymy o ich praktyczną realizację, zakładając, iż nasze poglądy osadzone są w jakiejś teorii, ale niekoniecznie nam znanej. Nie wiem, czy Pan premier Jarosław Kalinowski negocjując sprawy rolnictwa i wsi w Kopenhadze „w przeddzień” członkostwa Polski do Unii Europejskiej (grudzień 2002) miał pełną świadomość wagi teoretycznej problemów, o których rozwiązanie zabiegał, wiem natomiast, że robił to do-

brze, z determinacją i skutecznie. Wyobraźnia polityka, jego intuicja, a przede wszystkim poczucie służby społecznej wobec tych, którzy mu zawierzyli i wyposażyli w mandat, była dobrym kompasem i reflektorem w mroku otaczającej go niewiedzy i niewiary wielu kolegów z Rządu i nie tylko. **O co walczył? – po pierwsze o dochody rolnicze, o poprawę ich relacji nie tylko do dochodów rolników europejskich (unijnych), ale także osób zatrudnionych w Polsce, w działach pozarolniczych, po drugie o godność pracy rolnika i przyszłość jego wiejskiej rodziny, po trzecie o cywilizacyjne zbliżenie między miastem a wsią**, by twierdzenie „jestem z miasta” nie oznaczało pogardy dla tych co ze wsi, rzekomo „pazernych chłopów”, a w gruncie rzeczy w swej masie najbardziej niebezpiecznych obywateli kraju, dyskryminowanych przez rynek, czego nie widziało ułomne państwo.

Co wiedział premier Jarosław Kalinowski, a czego nie wiedzieli jego oponenci i malkontenci? **Najważniejsze, że są trzy czynniki produkcji: ziemia, praca i kapitał**, ale ten pierwszy – naturalny zasadniczo się różni od pozostałych tym, że jest niemobilny. W gospodarce rynkowej przepływają do różnych zastosowań zasoby pracy i kapitału, a także wynagrodzenia tych czynników tj. pensje, płace, procenty, natomiast zasoby ziemi są stabilne, co więcej ulokowane na nich i związane z nimi inwestycje zazwyczaj mają także swoje stałe przeznaczenie, czas pracy, optima wykorzystania. Co z tego wynika – przede wszystkim brak możliwości elastycznego dostosowania się do warunków popytowo-cenowych, oferowanej podaży a przez to kosztów. W sensie ekonomicznym oznacza to nie mniej nie więcej tylko brak bieżących powiązań tych ostatnich z cenami, a przez to z dochodami, w efekcie brak konkurencyjnej wobec innych zastosowań stopy zwrotu zainwestowanego kapitału. Jeśli rynek tego nie zauważy, bo z istoty „jest ślepy”, to musi to widzieć państwo, a przede wszystkim jego Rząd. Jeśli i on nie widzi, i nie interweniuje w korektę rynkowego podziału dochodów, to dyskryminuje w warunkach demokracji tych co Naród żywią. **Bohater wywiadu, w czasie o którym mowa rozumiał więcej niż jego Rząd. Wiedział, że nie do utrzymania jest dysparytet dochodów rolniczych w Polsce odziedziczonych po reformie L. Balcerowicza, wiedział, że minimum minimorum dla funkcjonowania koalicji rządowej SLD-UP-PSL jest nie tyle zaprzestanie, co zmniejszenie dyskryminacji dochodowej polskich rolników, wobec pozostałych pracujących w kraju, a także tych w Unii Europejskiej. Bez nadziei poprawy sytuacji dochodowej w rolnictwie, nie można by było przekonać rolników do pozytywnego głosowania w referendum akcesyjnym.** Po drugie, jako „człowiek ziemi”, od lat praktykujący rolnik, wiedział to, czego też nie wiedzieli jego koledzy negocjatorzy w Rządzie, a mianowicie, że wystę-

pująca w rolnictwie bariera popytowa na żywność i dochodowa rolników ma swój fizyczny wymiar w przychodach i kosztach. Grał przeto świadomie na rolę przymusu konsumpcji żywności w społeczeństwie. To ten bezdyskusyjny fakt łączy wszystkich, którzy przynajmniej trzy razy dziennie zasiąść muszą do stołu. Wiedza i praktyka podpowiadała jednak, że bez przemian w strukturze produkcji i zbytu nie ma szans na wyjście z tego zakłętą kręgu niemożności i ubóstwa, co niektórzy pogardliwie nazywają „idiotyzmem życia wiejskiego”. **Z uporem godnym wielkiej sprawy negocjował w Kopenhadze wysokość dopłat bezpośrednich, czas dochodzenia do pełnej płatności, kwotę produkcji mleka i inne tytuły, które poprawiając sytuację dochodową dawały szanse na zmiany strukturalne w rolnictwie i na wsi.**

Dzisiaj, gdy patrzymy z perspektywy 10-lat na doświadczenia polskiego rolnictwa w UE i jak ono sobie daje radę z unijną konkurencją, wiemy znacznie więcej. Ukazało się wiele prac naukowych, w tym dotyczących kwestii fundamentalnych, np. rent ekonomicznych w rolnictwie, które wpisują się we współczesną ekonomię rolną po nowemu. Teoria ekonomii rolnej odnalazła swoje miejsce w naukach ekonomicznych i dyscyplinie ekonomia. Współcześnie wiemy na podstawie doświadczenia i analiz teoretycznych, iż ze względu na nie mobilność czynnika ziemi, ucieka od producenta (rolnika) wytworzona przez niego nadwyżka ekonomiczna (tj. różnica między przychodami i kosztami) w wysokości ok. 20-25 proc. tego, co wytworzono i przechwytuje ją cały łańcuch podmiotów funkcjonujących na drodze „od pola do stołu” tj. skupujących surowce, przetwórców, hurtowników, detalistów, w końcu konsumentów. **Ta nieopłacona część wyprodukowanej przez rolników produkcji musi do nich wrócić za pośrednictwem dawniej rynku (cen) i budżetu (podatników), dziś bardziej podatników i budżetu z możliwie maksymalnym pominięciem rynku.** To się nazywa interwencjonizm: unijny, państwa, instytucji, bez którego mówienie o zrównoważonym rozwoju struktur wytwórczych w rolnictwie można między bajki włożyć. Stosują go wszystkie kraje świata, im bogatsze, tym w większym stopniu rozumieją praktykę przymusu konsumpcji żywności w warunkach samowystarczalności produkcji rolnej. Warto więc przy okazji wywiadu z J. Kalinowskim podkreślić, iż **to nie „pazerność chłopów” pchała go do twardych i zdeterminowanych działań, a wiedza i doświadczenie z zakresu ekonomii rolnej i jej związków z rynkiem.** Wiedzy tej nigdy nie za dużo. Ciągłe jeszcze niezrozumienie roli czynnika ziemi w ekonomii i gospodarce prowadzi do fałszywych, czasami pogardliwych wręcz sądów o tych, co to „śpią a zboże im rośnie”.

Perspektywa minionych 10-lat uczy jeszcze jednego. Zmieniają się budżety

rolne dla Polski. Dziś dzięki finansowemu wsparciu UE mamy do podziału prawie dwukrotność budżetu krajowego. Ten oparty o środki UE w 2014 r. sięga 95 proc. tego, co gwarantuje budżet krajowy, w sumie oba to ponad 54 mld zł. Poprawia się więc sukcesywnie parytet dochodów rolniczych w relacji do działalności nierolniczej. Zmierzamy, acz powoli, do poziomu dochodów rolników z państw tzw. „starej Unii”, ale niestety im bardziej rosną dochody rolników, tym większe są też koszty ich produkcji. **Stymulowanie produkcji i wydajności, jak się okazuje ma swoje granice.** Nie wystarcza dziś uruchomienie wzajemnie napędzającego się mechanizmu rosnącej produkcji, malejących cen i rosnących kosztów (tzw. stymulowanie kieratu technologicznego). Ziemia domaga się przywrócenia jej dobrostanu, pełnej internalizacji kosztów jej użytkowania, poszanowania środowiska i klimatu. Kraje Unii Europejskiej nie dysponują konkurencyjnymi, wobec wielu innych krajów świata, naturalnymi warunkami produkcji, stąd muszą być one bardziej szanowane, niż gdzie indziej, bo są po prostu rzadsze.

Pojawił się więc niejako naturalnie problem I i II filara wsparcia rolnictwa w UE, tego ekonomicznego i rolno-środowiskowego. **Jak więc zachować równowagę w rozwoju, a równocześnie nie pogłębić dysproporcji dochodowych w rolnictwie?** Nauka podpowiada jak to robić, ale potrzeba mądrych, społecznie wrażliwych jej wykonawców, wielu Kalinowskich, Siekierskich, mądrych urzędników, dyrektorów (jak dr J. Plewa) i decydentów (ministrów) w Rządzie, a przede wszystkim wiedzy, że ziemia nie może być traktowana na zasadzie „reszty”. Przyjdzie czas, gdy zaniedbana upomni się o swoje i wtedy zapłacimy wszyscy.

Dobrze jest być mądrym przed szkodą, dobrze jest rozumieć optimum efektywności ekonomicznej i społecznej adekwatności, dobrze jest zawierzyć tym, co mają już doświadczenie jak to robić. Przypadek, o którym poniżej jest sukcesem. Warto go zwielokrotnić.

## Droga do Kopenhagi

*Koalicja SLD-PSL i przygotowywanie polskiego stanowiska w sprawie rolnictwa*

**23** września 2001 roku odbyły się kolejne wybory parlamentarne. Tym razem bezapelacyjne zwycięstwo odniósł Sojusz Lewicy Demokratycznej uzyskując ponad 41 proc. głosów i 216 mandatów. Sukces SLD byłby jeszcze większy, gdyby nie dziwne wystąpienie prof. Marka Belki na konferencji przedwyborczej.

Tak. Leszek Miller na kilka dni przed wyborami zaprezentował przyszłych ministrów. Każdy poinformował krótko o planach swego resortu. Profesor Marek Belka zapowiedział wtedy rzecz mało popularną – opodatkowanie depozytów bankowych. Gdyby nie ta niezbyt fortunna wypowiedź przyszłego ministra finansów lewica mogła zdobyć bezwzględną większość w sejmie.

*Może komuś zależało, żeby Sojusz nie rządził sam, tym bardziej, że miał już nie najlepsze w tym zakresie doświadczenia z czasów PRL?*

Nie wiem. Być może istotnie ktoś zasugerował prof. Belce taką wypowiedź. Ale szczegółów nie znam.



---

*Albo po prostu Leszek Miller i jego ludzie byli tak pewni zwycięstwa, że nie dbali o „pijarowski” kamuflaż?*

Tak. Buta ludzi SLD nie miała wtedy sobie równych. Do kronik kabotyńskich przechwałek przeszło wówczas stwierdzenie Leszka Millera, że jak zechce żeby gruszki na wierzbie wyrosły, to na pewno wyrosną.

---

*Zostawmy jednak czerwonych, zajmijmy się naszymi zielonymi. Polskie Stronnictwo Ludowe już nie przeżyło kompromitacji takiej jak cztery lata wcześniej, ale 8,98 proc. głosów (42 mandaty) trudno uznać za sukces. Piąte miejsce w parlamentarnej hierarchii nie mogło przecież satysfakcjonować partii z ponad stuletnim rodowodem i z ambicjami na miarę Wincentego Witosa.*

Na pewno. Wypadliśmy zdecydowanie poniżej naszych oczekiwań. Powód był jeden. Na arenie politycznej pojawiła się populistyczna Samoobrona. Andrzeja Leppera, lidera tego ugrupowania, kreowano wręcz na nowego Witosa. Wieszczono, że PSL już się kończy, że trzeba głosować na Samoobronę. I dlatego, uważam, że zdobycie w krzyżowym ogniu propagandy antypeeselowskiej 9 proc. to zupełnie przyzwoity wynik. Chociaż nie ma co ukrywać, że Samoobrona zabrała nam co najmniej połowę wiejskich głosów.

---

*A może nawet jeszcze więcej. Samoobrona, która cztery lata wcześniej zaledwie raczkowała, teraz uzyskuje trzeci wynik, zgarniając 10,02 procent głosów i 53 mandaty stanęła na trzecim miejscu parlamentarnego podium. Jak przypuszczasz, skąd się w ogóle wzięła Samoobrona, która swoimi obietnicami bez pokrycia trafiała do elektoratu wiejskiego znacznie łatwiej niż PSL?*

*Czy przypadkiem któreś z dużych partii nie zależało, aby powstał taki twór populistyczny, który zneutralizuje albo nawet wyeliminuje Polskie Stronnictwo Ludowe?*

Pamiętajmy, reformy Leszka Balcerowicza napędzały wyborców partiom radykalnym, a Andrzej Lepper potrafił to wykorzystać. A co do pytania, to mam pewne podejrzenia, ale brakuje mi tzw. twardych dowodów. I dlatego nie odpowiem na twoje pytanie.

---

*Szkoda, że nie chcesz wsadzić kija w mrowisko...*

I na to kiedyś przyjdzie pora.

---

*Ogółem do Sejmu weszło 6 partii. O trzech już wspomnieliśmy; trzy pozostałe to Platforma Obywatelska (65 mandatów), Prawo i Sprawiedli-*

*wość (44 mandaty) i Liga Polskich Rodzin (38 mandatów). Postkomuniści oczywiście mieli ogromną przewagę nad innymi partiami, ale nie zyskali bezwzględnej większości. I aby rządzić musieli zawrzeć koalicję przynajmniej z jednym ugrupowaniem. Ale czy, używając kolokwialnego języka, istniały realne szanse, by pięć pozostałych ugrupowań mogło zewrzeć szeregi i pozostawić w opozycji postkomunistów?*

Matematycznie było to możliwe. SLD i Unia Pracy miały wspólnie 216 posłów pozostałe ugrupowania 242, plus dwóch posłów mniejszości niemieckiej. Ale nikt nie mógł sobie wyobrazić takiej koalicji. I nikt na dobrą sprawę nie rozważał takiej koncepcji. Dla PSL też nie było innej alternatywy poza sojuszem z SLD.

---

*Czyżby? Nie musieliście przecież wchodzić w koalicję z postkomunistami. Niechby się sami podniecali swoim ogromnym sukcesem.*

Tylko pozornie masz rację. Pamiętaj, że trwały właśnie rozpoczęte przez rządy AWS negocjacje warunków członkostwa Polski w Unii Europejskiej. Największe problemy dotyczyły rolnictwa, dopłat, kwot produkcyjnych. Gdyby te sprawy zostawić towarzystwu Leszka Millera to nasi rolnicy otrzymaliby minimalne dopłaty i nic poza tym.

---

*Ale także i w PSL byli przeciwnicy wejścia do Unii.*

Takich twardych przeciwników jak w Samoobronie, czy w Lidze Polskich Rodzin u nas nie było. Może poza prawicowcami w rodzaju Bogdana Pęka, lecz ci opuścili dość szybko nasze Stronnictwo. Jednak większość naszych działaczy uważała, że integracja europejska jest potrzebna, ba, wręcz konieczna jednak nie bezwarunkowa, ale na partnerskich zasadach. Uważaliśmy, że w sytuacji zagrożenia żywotnych interesów polskiej wsi, PSL nie może stać „z bronią u nogi”. Aktywny udział w negocjacjach, możliwy jedynie w koalicji rządowej, traktowaliśmy więc jako nasz obowiązek wobec polskiej wsi. Nie mogliśmy pozwolić, aby polski rolnik miał wchodzić do Unii jako obywatel drugiej kategorii.

---

*Mocno powiedziane. Ale po raz kolejny pytam: czy naprawdę wszyscy ludowcy chcieli do Unii? Zacytuję tu klasyka Leszka Millera. W swoim wiekopomnym dziele „Tak to było” na stronie 56 pisze on co następuje: „Kiedy jeszcze przed wyborami z inicjatywy Magazynu „Unia i Polska”, liderzy największych partii zaproszeni zostali do zawarcia „Paktu na rzecz integracji z Unią Europejską” – Kalinowski mimo wcześniejszych deklaracji, dokumentu nie*

*podpisał. Podobnie jak Jarosław Kaczyński, ale to akurat było mniejszym zaskoczeniem. Jak tłumaczył mi szef ludowców o jego nieobecności wśród sygnatariuszy paktu zdecydowały wyniki badań wskazujące, że aż 53 procent wyborców PSL opowiedziało się przeciw wejściu do Unii, a tylko niespełna jedna trzecia była za. Kiedy pytałem się Kalinowskiego o rozkład sił w jego ugrupowaniu uśmiechał się (...) i zapewniał, że większość jest za wejściem do Unii, ale na „godnych i partnerskich warunkach”.*

Zaraz po objęciu przeze mnie funkcji prezesa PSL powołaliśmy Narodowe Centrum Integracji Europejskiej. W trakcie otwartych debat inicjowaliśmy dyskusje o różnych problemach związanych z integracją z naciskiem na problemy wsi i rolnictwa. Wyjaśnię jednak, czym był ten „Pakt na rzecz integracji z Unią Europejską” zaproponowany przez dwutygodnik „Unia i Polska”. Był po prostu taką polityczną zabawą, niczym więcej. Albo jeśli wolisz, czymś w rodzaju prawyborów. Jednak przynaję, nie chciałem mimo wszystko wypowiedzieć się zbyt konkretnie, aby nie denerwować wielu naszych członków jeszcze niezdecydowanych. Najpierw należało ich przekonać, żeby poparli nasz akces do wspólnoty, oczywiście na zasadach partnerskich. Akces Polski do Unii Europejskiej to było dla nas ludowców wydarzenie ogromnie ważne. Ale tym subtelniej należało dyskutować z wątpiącymi w celowość integracji z Europą. Tymczasem ośmielałem się stwierdzić, że niektórzy nasi partnerzy z SLD chcieli wejść do Unii za wszelką cenę, nie stawiając żadnych warunków.

---

*Wspomniałeś, że wszyscy ludowcy z twego kręgu byli zwolennikami wejścia Polski do Unii. Ale nie wszyscy chcieli koalicji z SLD. Jak pisze Antoni Dudek w swej pracy „Historia Polityczna Polski 1989-2005”: „W głosowaniu imiennym, za koalicją opowiedziało się 74 członków Rady Naczelnej, przeciwko zaś 22 reprezentujących prawe skrzydło tej partii, w tym między innymi Zdzisław Potkański, Bogdan Pęk, Franciszek Stefaniuk i Janusz Piechociński. Ten ostatni przekonywał, że zwolennicy koalicji „...popelniają błąd. Nie wyciągają wniosków z poprzedniej naszej koalicji z SLD. Żeby być dla SLD partnerem, trzeba mieć siłę. A my mamy tylko 42 posłów. To za mało, by być skutecznym”.*

Takich głosów nie można było lekceważyć, jednak zdecydowaliśmy się wejść do koalicji. Inaczej tracilibyśmy wpływ na to, co się dzieje w kraju w tak ważnym momencie naszej historii. Wiedzieliśmy bowiem, że ani lewica, ani prawica nie będzie zajmowała się problemami rolnictwa, więc jeśli chcemy dopilnować tych spraw, a będą to rozstrzygnięcia na dziesięciolecie, to musimy być w koalicji rządzącej. I zadbać o polskich rolni-

ków, aby ich nie skrzywdzono. Bo przecież słyszało się już wtedy głosy, że 25 procent dopłat bezpośrednich to też są pieniądze nie do pogardzenia. Lecz przy tak mizernym wsparciu nasze rolnictwo nie mogłoby absolutnie konkurować z rolnictwem europejskim.

---

#### ***A czy Sojusz mógł wejść w koalicję z innym ugrupowaniem?***

Teoretycznie tak. Jednak Platforma Obywatelska nie wykazywała specjalnego zainteresowania współpracą z postkomunistami. Zresztą i czerwonym było wtedy jeszcze nie po drodze z liberałami. A z Samoobroną jeszcze nie bardzo wypadało, choć Leszek Miller był po imieniu z Andrzejem Lepperem i ich relacje były koleżeńskie. I już wtedy pojawił się zamysł, żeby wykorzystywać Samoobronę i Leppera do zmiekczenia czy osłabiania PSL. To dzięki poparci SLD Andrzej Lepper został „na chwilę” wicemarszałkiem Sejmu. Ale jego kompromitujące wypowiedzi spowodowały, że musiał dość szybko opuścić to zaszczytne stanowisko. Warto przypomnieć, że Leszek Miller w roku 2007 startował do Sejmu RP z list Samoobrony.

---

#### ***Czy zatem Miller i jego kompania wymyślili Samoobronę?***

Nie wymyślili na pewno. Ona się sama wymyśliła, aczkolwiek ją wspierali, udzielali rad, pomocy.

---

#### ***Czy ty byłeś po imieniu z Andrzejem Lepperem?***

Nie. Zawsze zachowywałem do niego dystans i myślę, że z wzajemnością. Do większych konfliktów między nami nie dochodziło.

---

#### ***Wróćmy wszak do naszych koalicyjnych rokowań.***

No właśnie. 9 października 2001 roku doszło do spisania umowy koalicyjnej, takiej umowy zielonego Dawida z czerwonym Goliatem.

---

#### ***Zważ, że mały biblijny Dawid pokonał wielkiego Goliata.***

W naszym przypadku było to niemożliwe. Zgodnie z procedurami został wybrany zespół negocjacyjny, którym z naszej strony kierował Stanisław Dobrzański i przez blisko dwa tygodnie trwały rokowania z SLD. Spisaliśmy umowę, w której nie wszystko było po naszej myśli, ale przecież znaliśmy realia. Ich było 216, nas zaledwie 42. Mimo takich dysproporcji niektórzy członkowie Rady Naczelnej zżymali się, skądinąd słusznie, że ta umowa koalicyjna zbyt słabo chroni nasze interesy i występowała przeciwko tej koalicji. Nie była to jednak zbyt liczna grupa. Większość stanowili realisci, którzy uważali, że dwa

ministerstwa, które otrzymaliśmy to tylko instrumenty do realizacji stawianych sobie zadań.

---

***W sumie zatem dominowali raczej minimaliści?***

Nie przesadzaj. I tak otrzymaliśmy więcej niż to wynikało z proporcji mandatów. Przez jakiś czas próbowaliśmy walczyć o trzeci resort, ale ta walka od samego początku była skazana na porażkę. Mieliśmy też „życzliwych” doradców, którzy odradzali nam aby nie brać ministerstwa rolnictwa, ale to nie byłoby mądre posunięcie. Zgodnie z przewidywaniami objąłem funkcję wicepremiera i ministra rolnictwa, a moim pierwszym zastępcą został dr Czesław Siekierski, pracownik naukowy SGGW, także prezes Fundacji Pomocy Programów dla Rolnictwa (FAPA). Stanowisko ministra Ochrony Środowiska objął Stanisław Żelichowski. I do roboty...

---

***Z kopyta. Nowy rząd powołany w październiku 2001 roku stanął przed niełatwym zadaniem. Musiał przede wszystkim zakończyć rokowania dotyczące wejścia Polski do Unii Europejskiej. Czyli zamknąć negocjacje w 13 najtrudniejszych działach oraz uchwalić lub znowelizować 66 ustaw. To wszystko praktycznie w ciągu roku.***

A tu na domiar złego już na starcie trafiliśmy na minę, ogromną dziurę budżetową zawinioną przez AWS i ministra finansów Jarosława Bauca, bagatela, 90 miliardów. I musieliśmy podjąć wiele niepopularnych decyzji, aby ratować finanse publiczne. Nie starczyło między innymi pieniędzy na normalną waloryzację emerytur. Pamiętam pewien incydent na spotkaniu w okolicach Włocławka, w którym uczestniczyłem jako wicepremier. Atmosferę podgrzewali przedstawiciele „Samoobrony”, ale jakoś sobie radziłem nawet z trudnymi pytaniami. Trudno jednak było ustosunkować się do pretensji pewnej nauczycielki, emerytki, działaczki PSL. Zaczęła od oświadczenia, że ona i jej śp. mąż, „który tak pana cenił”, zawsze głosowali na Stronnictwo, ale ona już tego więcej nie zrobi. Otrzymała bowiem waloryzację emerytury w wysokości 1,50 zł, a znaczek zawiadamiający o tej „podwyżce” kosztował 2 zł.

---

***Nie zazdroszczę Ci. Wiem, co to znaczy mieć węża w kieszeni.***

Trudno tu mówić o tym przysłowiowym wężu. Pieniądzy zwyczajnie nie było. Kiedy na posiedzeniu rządu dyskutowaliśmy o „łataniu” tej dziury, zgłosiłem propozycję, aby zacząć od siebie i pracownikom tak zwanej „Rki”, czyli także członkom rządu, obniżyć pensję o 10 proc. Nikt mnie nie poparł, a premier Miller skomentował to jednoznacznie: „Czyś ty zwa-

riował, kto będzie chciał pracować za tak marne pieniądze”. Wiem, że te oszczędności byłyby symboliczne, przy ogromie tego długu minimalne. Wysłalibyśmy jednak społeczeństwu ważny psychologicznie znak, że rząd od siebie zaczął szukać oszczędności.

---

***Niestety i tym razem daliście do zrozumienia, że rząd zawsze się wyżywi. Na szczęście dla wszystkich ten kryzys finansowy został zażegnany w miarę szybko.***

Trzeba było jednak zmodyfikować dość zasadniczo plan budżetowy, odstąpić od projektów uchwał mających zwiększyć wydatki publiczne. No i metoda, stara jak świat, zaciskania pasa, zdała całkowicie egzamin. Z tego finansowego dołka faktycznie wyszliśmy dość szybko. Pan Jarosław Bauc, doktor ekonomii, przeniósł się do bezpieczniejszej pracy w instytucjach finansowych. I przypuszczam, że takiego deficytu już żadnej z nich nie zafundował.

---

***Dziura, dziurą, ale dla rządu Millera ważniejsze zapewne było dokończenie negocjacji w sprawie przystąpienia Polski do Unii Europejskiej.***

Nie tyle dokończenie, ile rozpoczęcie negocjacji. W tym czasie, kiedy powstał nasz rząd, Polska plasowała się na szarym końcu pod względem zamknięcia obszarów negocjacyjnych. Musieliśmy nadrobić stracony czas, a nie było to zadanie łatwe.

---

***Czy świadomość, że nie wszyscy tęsknią do Unii sphywała po was jak woda po kaczce czy też dręczyły was wątpliwości?***

Z jednej strony czuliśmy brzemień odpowiedzialności, bo hurraoptymizm to raczej przywilej idiotów. Krzepiło nas jednak poczucie misji. Nie działaliśmy przecież na oślep, bez rozeznania nastrojów. Przeciwników wejścia do Unii też nie można było lekceważyć. Dzielili się oni z grubsza na dwie grupy. Na tych, którzy autentycznie nie chcieli wejść do europejskich struktur i na tych, którzy po cichu optowali za Unią, ale publicznie mówili „nie”, żeby zdobyć dość liczny w Polsce antyunijny elektorat. Ot, taka taktyka polityczna na krótką metę.

---

***Twoja ocena przeciwników integracji przywodzi mi na myśl powiedzenie: „Boże, chroń nas przed przyjaciółmi, bo przed wrogami obronimy się sami”.***

Na pewno jest w twoim stwierdzeniu sporo racji.

*Zwolennicy, nawet entuzjaści wejścia do Unii twierdzili, że barierę na drodze ku Europie stanowi polskie rolnictwo, rozdrobnione, zacofane. Dla przykładu przypomnę ci artykuł o Estonii zamieszczony w tymże roku 2001 w „Rzeczpospolitej”. Jakiś dziennikarzyna, pisał na kolanach o estońskich sukcesach gospodarczych. Utkwił mi w pamięci zwłaszcza śródtytuł w tym artykule: „Rolnictwo to strata czasu”. Autor przekonywał, że małej Estonii rolnictwo nie jest potrzebne. Granice są otwarte, bariery celne zniesione, żywność z całej Europy spływa do Estonii strumieniami, tańsza niż wyprodukowana na miejscu. I sprawa najważniejsza. Rolnictwo może zagrozić przyjęciu do Unii. Dlatego trzeba z nim skończyć.*

*Tak się złożyło, że w tym mniej więcej czasie odwiedziłem Estonię. I tam znalazłem potwierdzenie tego faktu, wysłuchiwałem argumentów tzw. zwolenników integracji. „My chcemy do Unii, a rolnictwo może nam w tym przeszkodzić. Dlatego dawne kolchozy dziczeją, a ziemia leży odłogiem. Bo dzięki temu wejdziemy do Unii”. Tylko niektórzy moi rozmówcy twierdzili, że szkoda estońskiego rolnictwa, ponieważ dawna kolchozowa Estonia żywiła cały okręg leningradzki, a rolnictwo estońskie, podobnie jak litewskie wyróżniało się na tle sowieckiej mizerii. Ale tych głosów nikt nie brał pod uwagę. Czy u nas nie było podobnie?. Czy nie korciło wielu, żeby poświęcić rolnictwo na „ołtarzu integracji europejskiej”?*

No nie, u nas aż tak źle chyba nie było, choć niechętnych rolnictwu nie brakowało. Od czego jednak czujność PSL. Następne lata potwierdziły, że skutecznie neutralizowaliśmy takie szkodliwe poglądy. Co nie zmienia faktu, że istotnie w roku 2001 było jeszcze w Polsce ponad półtora miliona rolników. Zaledwie kilkaset tysięcy większych i zasobniejszych gospodarstw miało kontakt z rynkiem. Na zarzuty malkontentów, że szklanka jest do połowy pusta odpowiadaliśmy, że właśnie wejście do Unii stanowi szansę dla polskiego rolnictwa na wypełnienie szklanki po menisk wypukły. Jeśli rolnicy otrzymają dopłaty obniżające koszty produkcji, opłacalność tej dziedziny gospodarki stanie się faktem. Lansowaliśmy przez wiele lat jeszcze w PRL chwytliwe hasło wytrych – samowystarczalność żywnościowa. Po to przecież wprowadzono dopłaty, aby żywność była relatywnie tania i dostępna dla niezbyt zamożnych, a rolnik osiągał godziwe dochody.

Toteż w Stronnictwie niewielu było tak naprawdę przeciwników integracji europejskiej. Prawie wszyscy rozumieli, że jest to proces trudny, bolesny nawet, ale daje szansę w jakiejś perspektywie każdemu Polakowi bez wyjątków, więc naturalnie rolnikowi także.

Pamiętam, i czasem teraz przypominam sobie debatę w polskim sejmie już w 1994 roku na temat ratyfikacji układu stowarzyszeniowego. Obradom przewodniczył wicemarszałek sejmu, wcześniej literat i dziennikarz radiowy Aleksander Małachowski. Zapamiętam na całe życie to, co pan marszałek powiedział na zakończenie. „Ratyfikować ten układ stowarzyszeniowy Polski z Unią, iść do tej Unii, podejmować ten wysiłek przekształceń gospodarczych, prawnych i właściwie wszystkiego, to jest szaleństwo. Ale nie ratyfikować, to jest obłąd. W szaleństwie jest nadzieja, a z obłądu wyjścia nie ma”.

---

*Czyli nie było alternatywy, trzeba było wstąpić do Unii. Ale – powtórzmy raz jeszcze – Unia miała w Polsce wielu przeciwników, na wsi także. Popuśćmy więc wodze niezdrowej fantazji. Polska rezygnuje z unijnej szansy. I co dalej?*

No cóż, nie ma najmniejszych wątpliwości, że Polska pozostałaby wtedy nie tylko poza wartkim nurtem rozwoju cywilizacyjnego, ale także poza głównymi ośrodkami życia politycznego jednoczącej się Europy. Bo przecież nie było też możliwe, nie tylko ze względów historycznych, zbliżenie z Rosją. Czekaliby nas los samotnej wyspy i to wcale nie zielonej. Stracilibyśmy wiele i to w różnych aspektach. Nie moglibyśmy liczyć na lepszą jakość życia, na szybszy rozwój gospodarczy, na nowoczesny dostęp do wiedzy i kultury.

I co jest również ważne stracilibyśmy poczucie, wciąż wprawdzie przez wielu kwestionowane, do satysfakcji narodowej, że mamy jakiś wpływ na losy Europy i świata. W Radzie Unii przyznano nam przecież 27 głosów, tyle samo co Hiszpanii, niewiele mniej niż Niemcom i Francji.

Wypunktujmy inne korzyści. Po pierwsze bezpieczeństwo ekonomiczne. Polska zintegrowana, o średnim potencjale gospodarczym mogła się skutecznie bronić między innymi przed agresywnymi atakami światowego kapitału spekulacyjnego. A potrzebujemy mocy, żeby dogonić nie tylko potentatów, ale nawet średniaków unijnych. Najważniejsze jednak jest to, że wchodząc do Unii i do NATO staliśmy się częścią europejskiej strefy bezpieczeństwa i rozwoju. Od 70 lat w naszej części Europy nie było wojny, jesteśmy pierwszym pokoleniem Polaków od tysiąca lat, które nie doświadczyło wojny. A o szansach rozwojowych niech świadczy budżet UE na lata 2014-2020, z którego uzyskamy 106 mld euro, a nasza składka nie przekroczy 30 mld euro.

---



### ***Od kiedy żyję, słyszę, że gonimy świat...***

Niestety, wciąż jeszcze gonimy, jednak przyznasz, że coraz skuteczniej. Aby to potwierdzić, wystarczy rozejrzeć się wokół, bez różowych, lecz i bez czarnych okularów. Gdy startowaliśmy najbogatszy w „piętnastce” Luksemburg miał dochód narodowy na jednego mieszkańca pięć razy większy niż Polska. Co tam Luksemburg. Kraje najbiedniejsze Portugalia i Grecja też zdecydowanie były nas na głowę poziomem życia.

---

*Mówiło się też, że nie wchodząc do Unii przestalibyśmy decydować o swoim losie, ponieważ i tak wiele decyzji gospodarczych dotyczących także Polski, podejmowano by bez naszego udziału.*

Oczywiście, że tak. Ryby i kraje spoza struktur europejskich głosu nie mają. Ale powtórzę wszak raz jeszcze, że nie mogliśmy wejść do Unii na każdych warunkach, za wszelką cenę. Naprawdę to nie my decydowaliśmy w Jałcie o wtłoczeniu Polski do sowieckiej strefy wpływów. Czy nie należała się nam jakaś rekompensata, za wredną wobec nas postawę aliantów w 1945 roku?

---

***To prawda. Wolę jednak punkt widzenia suwerena, a nie klienta możnych Europy. Dlatego odwróć pytanie. Czy rozszerzenie Unii byłoby możliwe bez Polski, największego państwa Europy Środkowo-Wschodniej, kraju, który odegrał najważniejszą rolę w obaleniu komunizmu na Starym Kontynencie?***

Nie ulega wątpliwości, że rozszerzenie Unii bez Polski teoretycznie było możliwe, w praktyce jednak wystarczy spojrzeć na mapę. Nasze geopolityczne położenie, które przez całe wieki było nawet przekleństwem, teraz stało się atutem, bo trudno wyobrazić sobie unijną wspólnotę z Polską jako „niezależną” enklawą w tej wspólnotie. A poza tym utarło się takie przekonanie, że jesteśmy biedni. Ale przecież polski potencjał ekonomiczny też nie był bez znaczenia. No i ogromny rynek zbytu, blisko 40 milionów mieszkańców. Niewiele więcej obywateli w sumie miały pozostałe państwa wtedy kandydujące. Wspólnota bez Polski była nie do wyobrażenia.

---

*Skoro tak, to Polska nie powinna wchodzić do Unii na klęczkach, jak wspomniana przez nas Estonia. Inaczej mówiąc, nie należało brać byle czego. Tymczasem nasi negocjatorzy chyba nie stanęli na wysokości zadania. Stawiam orzechy przeciw euro, że gdyby w Polsce nie było aż tak wielu rolników, którzy w referendum mogli powiedzieć „nie” to pewnie by ich też poświęcono na „oltarzu integracji” jak chłopów estońskich.*

Masz sporo racji. Ja również uważałem, posiłkując się wiedzą zdobytą na studium podyplomowym na temat wspólnotowego prawa rolnego u profesora Mariana Błażejczyka, że grupą zawodową, która mogła z członkostwa odnieść większe korzyści niż inne środowiska, są rolnicy. I z takim przekonaniem wchodziłem do rządu Leszka Millera. Ale niestety, na Radzie Ministrów wszelkie rozmowy o rolnictwie przyjmowano z wielką niechęcią lub z zażenowaniem. Bez przerwy słyszałem: I znowu rolnictwo! Czego oni chcą? Przez pazernych chłopów nie przyjmą nas do Unii. Na szczęście nasze „rolnicze lobby” też miało co nieco do powiedzenia. Wiedzieliśmy, w czym można ustąpić, a przy czym się trzeba upierać. Moja ekipa, do której wchodziłi tacy fachowcy jak wiceministrowie rolnictwa, dr Czesław Siekierski i dr Jerzy Plewa, a także dwie znakomite panie Zofia Krzyżanowska i Maria Zwolińska oraz Władysław Piskorz doskonale znający unijne realia, patrzyła negocjatorom na ręce i dlatego mogliśmy uzyskać może nie rewelacyjny, ale przyzwoity wynik w rokowaniach, które trwały do ostatniej godziny. Nawet nie starczyło czasu na bankiet u królowej Małgorzaty. Powiedziałem już kiedyś, że gdybyśmy od początku negocjacji wykazali taką determinację jak 13 grudnia 2002 roku w Kopenhadze to osiągnęlibyśmy znacznie więcej. Właśnie z tego powodu, że nie tylko Polska chciała wejść do Unii Europejskiej, ale Unia chciała w niej Polski.

---

***Kiedy w koalicji zaczęło zgrzytać między tobą, „wicepremierem od chłopów” a resztą?***

Zgrzytało od początku. Już w czasie pierwszych negocjacji. Musieliśmy walczyć o nasze sprawy na wielu polach. Chyba najbardziej zażarty bój stoczyliśmy o przepływ kapitału. Prawdziwym polem minowym tej batalii okazały się zasady zakupu ziemi przez cudzoziemców, zwłaszcza przez obywateli Unii Europejskiej. Poprzedni rząd zostawił nam w spadku osiemnastoletni okres przejściowy, absolutnie nierealny w nowej sytuacji. Dlatego w moich propozycjach, nad którymi pracowali eksperci, dokonałem świadomie radykalnej zmiany. Zamiast osiemnastu lat zaproponowałem dwanaście. Postawiłem jednak warunek, że tej zmianie musi towarzyszyć przyjęcie polskich regulacji prawnych, aby uniknąć spekulacyjnych zakupów naszego narodowego skarbu. Wedle moich propozycji polską ziemię mógł nabyć tylko rolnik, sąsiad miał prawo pierwokupu, musiały być zachowane odpowiednie normy obszarowe, rzecz powszechnie stosowana w Unii, na przykład we Francji, w Danii, także w Niemczech. Przedstawiłem założenia tej ustawy na Radzie Ministrów. Zo-

stały przyjęte przez rząd, chociaż pojawiły się wątpliwości. Otóż członkowie rządu, między innymi Włodzimierz Cimoszewicz, Danuta Hubner stanowczo domagali się, czy nie warto rozważyć skrócenia okresu przejściowego dla obywateli UE już dzierżawiących ziemię rolną do trzech lat. Tłumaczyli, że na takie rozwiązanie zdecydowała się większość państw kandydujących. Mnie to przerażało, lecz by uczynić zadość kolegialnemu podejmowaniu decyzji zwróciłem się do ekspertów Komitetu Integracji Europejskiej, aby przeprowadzili dokładną analizę ekonomicznych i społecznych skutków tej koncepcji, którą zaakceptowała Rada Ministrów.

Tymczasem minister spraw zagranicznych Włodzimierz Cimoszewicz pojechał do Brukseli i poinformował, że Polska wyraża zgodę na 3 letni okres przejściowy, na co wcześniej wyraziły zgodę inne państwa kandydujące. I zaczęły się problemy. Przede wszystkim dla Cimoszewicza. Na najbliższym posiedzeniu Rady Ministrów zaprotestowałem, że to niezgodne z decyzjami Rady Ministrów. Wybuchła awantura. Dopiero zapis protokołu wcześniejszej decyzji rządu w tej sprawie rozstrzygnął spór na moją korzyść. Włodzimierz Cimoszewicz musiał się wycofać ze swoich słów.

---

*Partie opozycyjne zażądały odwołania ministra. W głosowaniu, zgodnie z sejmową arytmetyką, wniosek przypadł.*

Odwołanie Cimoszewicza było nierealne. Jednak przeciwko panu ministrowi wystąpiło 130 posłów opozycyjnych a cały klub PO wstrzymał się od głosu, co także oznaczało swoiste wotum nieufności.

---

*Niegdyś, jeśli polityk rangi szefa dyplomacji palnął jakieś głupstwo, podawał się do dymisji.*

Za wiele wymagasz od współczesnych graczy politycznych. Ale także trzeba starać się zrozumieć motywację ich działania. Odzywa się zapewne twoja natura historyka zanurzonego w świetnej tradycji. A tak na marginesie, przypuszczam, że Cimoszewicz nie działał wyłącznie na własną rękę, lecz za przyzwoleniem Millera. Ale ponieważ Miller był we wszystko wtajemniczony, dymisja nie wchodziła w rachubę. W konsekwencji całe zamieszanie sprawiło, że tak ważna sprawa przepływu kapitału stanęła w martwym punkcie. Choć właściwie nie do końca. Spowodowała spory niepokój w Brukseli, skoro do Warszawy pofatygował się sam unijny komisarz do spraw rozszerzenia Unii Gunter Verheugen. Zameldował się u Leszka Millera 28 lutego 2002 roku. Najpierw przy obiedzie rozmawiał w wąskim gronie z premierem, a następne spotkanie odbyło się już m.in. z moim udziałem. Miller najpierw kurtuazyjnie

przywitał komisarza i oddał mu głos. A Verheugen zaczął bez kurtuazyjnych wstępów, jak to się mówi „z grubej rury”. Oświadczył bez ogródek, że Polska jest jedynym krajem spośród starających się o wstąpienie do Unii, który nie zamknął ważnego obszaru negocjacji o „przepływie kapitału”, w tym oczywiście sprzedaży ziemi. Następnie tonem dość prokuratorskim odezwał się do mnie: „Panie premierze Kalinowski, musi pan sobie uświadomić, jak wielka odpowiedzialność na panu spoczywa. Tu nie chodzi tylko o interes polskich rolników i interes Polski. Tu chodzi o sprawę całego rozszerzenia Unii i przyszłość Europy”.

---

*Ostro. Ale jak znam ciebie, nie padłeś na kolana przed komisarzem i nie prosiłeś o litość.*

Oczywiście. Odpowiedziałem komisarzowi grzecznie acz stanowczo, że byłem i jestem zwolennikiem członkostwa Polski w Unii. I zależy mi bardzo na osiągnięciu kompromisu w negocjacjach. „Ale – dodałem – musi pan wiedzieć, że to nie rząd Leszka Millera zadecyduje o członkostwie w Unii, lecz cały naród w referendum. A naród powie „tak” tylko wówczas, jeśli warunki będą partnerskie i będą go satysfakcjonować, ale może powiedzieć też „nie” jeśli uzna, że jest inaczej. Sprawa zakupu polskiej ziemi przez cudzoziemców jest ogromnie ważna nie tylko dla polskich rolników. Nie możemy się zgodzić na trzyletni okres przejściowy. Inne państwa mogły, ponieważ ziemia została im zabrana i utworzono kolchozy na wzór sowiecki. Chłop polski obronił swoją ziemię w czasach komuny, więc pragnie ją chronić i teraz w Unii. Dlatego polski rolnik oczekuje tych samych instrumentów ekonomicznych i społecznych, które są stosowane w państwach Unii. Prawo pierwokupu musi mieć sąsiad lub agencja państwowa. Ponadto uważamy, że w Polsce należy zróżnicować okresy przejściowe, bo regiony mają różną specyfikę rolniczą, inną w Polsce centralnej i wschodniej, inną w północnej i zachodniej, gdzie były wielkie Państwowe Gospodarstwa Rolne i przekształcenia muszą dokonywać się nieco inaczej”.

---

*I co na to Verheugen? Wybuchnął gniewem?*

Skąd. Odpowiedział, że to nie będzie łatwe, ale możliwe. Więc kontynuowałem swoją myśl, żeby stosować u nas normy unijne. Żeby cudzoziemiec starający się o zakup ziemi był rolnikiem posiadającym odpowiednie kwalifikacje i zamieszkiwał w gminie, w której chce nabyć ziemię. I komisarz znów powiedział, że nie widzi przeszkód.

---

### *Zapytałeś chyba Verheugena o wielkość gospodarstw?*

Oczywiście. Zaproponowałem, aby wprowadzić normy obszarowe w obrocie ziemią rolniczą. W Niemczech jest to 300 hektarów i w Polsce powinno być podobnie. Verheugen po krótkiej konsultacji ze swoim doradcą powiedział, że nie widzi przeszkód „bo jest to nasza wewnętrzna sprawa”. Po tych słowach komisarza stwierdziłem, że jeśli moje propozycje będą uwzględnione, możemy zamknąć ten obszar negocjacyjny w każdej chwili. I wtedy zdziwiony Miller zapytał: „to o co tu chodzi?”

---

### *Szkoda, że tego pytania nie postawił wcześniej Cimoszewiczowi...*

Otóż to. I stwierdzam ze smutkiem, że urzędnicy w Brukseli wykazywali niejednokrotnie więcej zrozumienia dla naszych polskich spraw niż ministrowie rządu Millera. Tak naprawdę marginalizowano ten problem i nawet nie słuchano moich argumentów. Sprzedaż ziemi? A cóż to takiego? Przecież mamy wolny rynek. Mamy ponadto wiele ziemi leżącej odłogiem, więc trzeba ją sprzedać jak najszybciej. A wracając do pytania Leszka Millera „o co tu chodzi?”, odpowiedziałem premierowi, że skoro komisarz unijny nie widzi problemów to moje postulaty należy przyjąć na posiedzeniu Rady Ministrów i zagwarantować odpowiednią ustawą sejmową.

---

*Leszek Miller w swojej książce „Tak to było” na stronach 146-148 inaczej widzi ten problem. Pozwolisz, że zacytuję fragment: „Żeby przekonać Kalinowskiego, że nie chcę nic robić za jego plecami, zaprosiłem go na lunch z Verheugenem. (...) Kalinowski zreferował swoje zamiary. Dzierżawcy, którzy zawarli już umowy, mogliby kupić ziemię w zależności od regionu Polski po trzech lub siedmiu latach licząc od daty ich podpisania. Kalinowski chciał jednak, żeby te zasady dotyczyły jedynie rolników indywidualnych, a nie spółek z udziałem cudzoziemców. Postulował też, aby ci farmerzy, którzy by zawarli umowy po 1 kwietnia 2002 roku mogli kupić ziemię po trzech lub siedmiu latach, ale licząc od dnia akcesji Polski do UE. Proponował także, aby ograniczyć arealty nabywanych gospodarstw od 100 do 300 ha.*

*(...) Verheugen słuchał w widocznym napięciu. Kiedy Kalinowski skończył pomilczał chwilę – widać było, że zbiera myśli – i wypunktował: Panowie jestem po całej serii rozmów z krajami członkowskimi i kandydackimi. Panuje przekonanie, że już ugraliście najlepsze warunki. Teraz chcecie jeszcze podwyższyć poprzeczkę. Radzę nie przeciągać struny. Być może będę mógł przeprowadzić koncepcję podziału Polski na dwie strefy, ale*

*nie podejmuję się walczyć o to, aby jednym rolnikom liczyć czas dzierżawy od podpisania umowy, a drugim od wejścia Polski do Unii. Uważam też, że spółki nie mogą być dyskryminowane. Co do ograniczeń wielkości arealów to nie jest to przedmiot negocjacji z nami.*

*(...) Popatrzyłem na Kalinowskiego wzrokiem „a nie mówiłem”. Było jasne, że ślizgamy się po cienkim lodzie”.*

Po pierwsze, nie uczestniczyłem w obiedzie, a tak pisze Leszek Miller. Po drugie, przebieg spotkania Leszek Miller musiał podkolorować, bo to nie on doprowadził do kompromisu, który nas satysfakcjonował, choć to nie koniec rozstrzygnięć w tej sprawie. Jedno wszak chcę podkreślić. Verheugen przyleciał do Warszawy 28 lutego 2002 roku. A już następnego dnia Rada Ministrów przyjęła stanowisko negocjacyjne w obszarze „Swobodny przepływ kapitału”. Dlaczego nie wcześniej? Bo wcześniej SLD-owscy ministrowie nie zgadzali się na moje propozycje. Tak na wszelki wypadek, by nie drażnić brukselskich urzędników. A ci urzędnicy lepiej niejednokrotnie rozumieli polskie realia niż nasi ministrowie.

---

### *5 marca 2002 roku Gunter Verheugen ogłosił, że „Komisja Europejska zarekomenduje państwom członkowskim przyjęcie polskiego stanowiska w sprawie ziemi”. Czy na tym skończyły się polskie korowody i czy ustawa o Agencji Nieruchomości Rolnych została uchwalona w miarę szybko?*

Niestety nie. Ustawę tę przyjęły obie izby parlamentu niemal jednocześnie, ale dopiero 14 kwietnia 2003 roku. Ponad rok od wizyty Verheugena w Polsce. 15 kwietnia dokument podpisał Aleksander Kwaśniewski. Prezydent złożył swój podpis pod ustawą zaledwie na dzień przed podpisaniem Traktatu Akcesyjnego w Atenach. PSL było już wtedy w opozycji, jednak Aleksander Kwaśniewski doskonale wiedział, że bez nas trudno będzie wygrać referendum. I chociaż z Millerem i rządem już się definitywnie rozstałem, to marszałek Sejmu Marek Borowski zachęcał prezydenta do podpisania tej ustawy przed podpisaniem Traktatu Akcesyjnego, ponieważ po jego podpisaniu nie można pogarszać warunków zakupu ziemi przez obywateli UE w państwie kandydującym. Argumentował, że to pozwoli PSL jednoznacznie opowiedzieć się w referendum za członkostwem w Unii. W przeciwnym wypadku wieś może zagłosować na nie. Poszło po naszej myśli. Znaczna część polskich rolników poparła wstąpienie do Unii. A obrót ziemią jest zabezpieczony.

## Droga do Kopenhagi

*Unijna polityka rolna i granice „szczodrości” UE wobec polskiego rolnictwa*

**K**toś złośliwie powiedział, że Unia Europejska powinna się nazwać *Rolnicza Unia Europejska, bo 50 proc. budżetu zabierają rolnicy.*

Już teraz mniej niż 50 proc. Ale był taki czas, że nawet 70 proc. budżetu szło na rolnictwo. Bezpieczeństwo żywnościowe stanowiło zawsze najważniejszy cel gospodarczej wspólnoty. Nie zapominajmy, że Europa przez wiele lat odczuwała niedostatek, w porywach ocierający się o głód. Najpierw wojna, a potem dług, w niektórych krajach nawet do 1951 roku, trwało racjonowanie żywności. Chodziło więc o to, aby mieszkańcy Europy wreszcie jadali do syta, więc żywność nie mogła być przesadnie droga a jednocześnie jej ceny gwarantowały godziwe dochody producentom. I należało naturalnie te sprzeczne interesy pogodzić ze sobą w miarę sprawiedliwie.

**Ale klóci się to z ideą wolnego rynku.**

Oczywiście. Jednak teoretyczne założenie, że niewidzialna ręka rynku załatwi wszystkie współczesne problemy jest, mówiąc bez ogródek, mitem. Gdyby rolnictwo poddać wszelkim rygorom rynkowym, to albo żywność byłaby piekielnie droga, albo rolnicy klepaliby biedę. Albo jedno i drugie.

*Jest jeszcze trzecia droga, że rynki europejskie zostałyby zarzucone tanią, lecz niewiele wartą żywnością ze świata.*

I liczba rolników zmniejszyłaby się wielokrotnie. A bezrobocie, ta plaga współczesnego kapitalizmu, wzrosłoby ogromnie. Co równie ważne – ta tak zwana tania żywność nagle by porządnie zdrożała. Na przykład cukier z trzciny cukrowej jest przeważnie sporo tańszy od tradycyjnego z buraków. Ale zdarzyło się, że kiedy w 2006 roku obniżono produkcję cukru w Unii Europejskiej o 30 proc., ten „tani” cukier był sprzedawany po paskarskich cenach. I dlatego wymyślono dopłaty rolne rekompensujące europejskim chłopom niskie dochody, a konsument europejski, i tu cytuję 39 artykuł Traktatu Rzymskiego z 1957 roku, żeby „miał dostęp

do żywności najwyższej jakości po przystępnej cenie”. Przystępnej, czyli niezbyt wysokiej.

**Kiedy wprowadzono dopłaty do produkcji rolnej?**

Bardzo dawno. Jeszcze w Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej, która powstała w 1959 roku, a 3 lata później wprowadziła wspólną politykę rolną. Ale wówczas nie było dopłat bezpośrednich tylko dotowano produkcję. Ta polityka wspomagania rolnictwa okazała się bardzo skuteczna. Już wkrótce produkcja tak wzrosła, że mieszkańcy wspólnoty nie mogli przejeść tej żywności. W latach sześćdziesiątych często a w siedemdziesiątych ubiegłego wieku nagminnie pojawiały się góry masła, góry mięsa, z którymi nie wiadomo co było robić. Eksportowano je z dopłatami, co pochłaniało coraz większe kwoty. Kiedy EWG wprowadziła wspólną politykę rolną należało do niej tylko sześć krajów. Były to Francja, RFN, Włochy, Belgia, Holandia i Luksemburg. Łatwiej było wtedy taką jednolitą politykę rolną wprowadzić.

*Dlaczego zrezygnowano z dotowania produkcji, systemu bardziej sprawiedliwego niż dopłaty bezpośrednie do każdego hektara.*

To prawda. Jednak nadmierna produkcja skłaniała do manipulacji dotacjami w różny sposób. Podejmowano arbitralne decyzje nakazujące na przykład zmniejszenie areału zasiewów itp. Wysoko produkcyjni rolnicy krytykowali takie metody biurokratycznego sterowania. Chcieli przecież więcej obsiewać hektarów, więcej hodować krów albo świń, więcej sprzedawać i co naturalne mieć więcej pieniędzy.

*Coś o tym wiem z własnego doświadczenia, bo w młodości pracowałem jako sezonowy zbieracz truskawek u duńskiego rolnika na wyspie Fionii. Mój pryncypał na tę politykę rolną bardzo narzekał, gdyż był głównie hodowcą świń i ciągle musiał zmniejszać swoje stado i tym samym swoje dochody. Twierdził, że dopiero kiedy zaczął uprawiać truskawki stanął na nogi. Początkowo martwił się jedynie skąd weźmie dostateczną liczbę zbieraczy, bo Duńczycy nie garnęli się do tej ciężkiej roboty. Lecz przy atrakcyjnych stawkach, dla cudzoziemców z krajów socjalistycznych oczywiście, gastarbeiterzy, głównie z Polski, walili drzwiami i oknami. Pracowaliśmy rzecz jasna na czarno, co przy odrobinie ryzyka opłacało się to obu stronom.*

Ty ryzykowałeś o wiele bardziej niż duński rolnik, bo za pracę na czarno mogli cię deportować, ukarać wysoką grzywną a nawet wsadzić do kozy.

---

*To prawda, ale ręk do pracy w Danii brakowało, więc przemykano oczy na takie „przestępstwa”. Tyrałem wraz z żoną i synami jak mało kiedy wcześniej i później, lecz za jaką kasę! Dość wspomnieć, że żona zarabiała dziennie trzymiesięczną pensję nauczycielską. Szczerze mówiąc dopiero ty mi uświadomiłeś jaki ze mnie ryzykant. Ale to dzięki nam, robotnikom na czarno rolnicy duńscy nie musieli zaorywać plantacji truskawek, na które wówczas w Danii i zagranicą było ogromne zapotrzebowanie; a na duńską wieprzowinę znacznie mniejsze.*

Potwierdzasz więc, że polityka dotowania bezpośrednio produkcji nie sprawdziła się i dlatego w 1993 roku już w Unii, zrzeszającej wówczas 12 państw, wprowadzono dopłaty bezpośrednie jako wsparcie oderwane od wielkości produkcji. Decyzję taką niewątpliwie przyspieszyła fatalna sytuacja na rynkach światowych, gdyż spadły ceny na produkty rolne. Zamiast niewidzialnej ręki rynku zadziałała sprawiedliwa ręka Unii i powetowała farmerom straty.

---

#### ***Podobno dotowano też ziemię leżącą odłogiem?***

Czyniono tak w pewnej ograniczonej skali z dwóch powodów. Po pierwsze intensywnie uprawiana ziemia powinna od czasu do czasu odpocząć. I po drugie, o czym wspomnieliśmy przed chwilą, zdarzało się, że trzeba było zmniejszyć produkcję.

---

*Czyżby i w Europie również dochodziło do takich amerykańskich absurdów o jakich pisze Joseph Heller w swojej znakomitej powieści „Paragraf 22”? Zapraszam na stronę 90.*

*„Ojciec majora Majora był trzeźwo myślącym człowiekiem. (...) Jego specjalnością była lucerna i żył z tego, że jej nie uprawiał. Rząd płacił mu dobrze za każdy korzec lucerny, której nie zebrał. Im więcej lucerny nie uprawiał, tym więcej pieniędzy otrzymywał od rządu i za każdy nie zarobiony grosz kupował ziemię, aby zwiększyć ilość nie uprawianej lucerny. (...) Długie zimowe wieczory spędzał w domu nie naprawiając uprząży i codziennie skoro południa zrywał się z łóżka, aby dopilnować czy nic nie zostało zrobione. Mądrze inwestując stał się największym nieproducentem lucerny w okolicy”.*

Pisarz ma prawo do przejawiania, do wyolbrzymiania faktów, a nawet do konfabulacji. Na pewno jednak amerykańska polityka rolna nie wyglądała tak karykaturalnie jak to przedstawił Heller, co nie znaczy że była ona zawsze idealna. W Europie też zdarzało się, że dopłacano do ugorów, ale

ta praktyka już została w Unii zaniechana definitywnie. Teraz otrzymuje się dotacje za ziemię ekologiczną, za różne pastwiska, skwery, które mają jakieś walory krajobrazowe czy kulturowe. Posiadacz takiego gruntu jest zobowiązany na przykład kosić trawę raz do roku, czy wykonać pewne zabiegi pielęgnacyjne. Ale nikt już nie wyłoży jednego euro za kompletne ugory, które straszą pokrzywami i innym zielskiem.

---

#### ***A czy uprawa roślin strączkowych, które dostarczają azot bezpośrednio do gleby to działalność ekologiczna czy nie?***

Od 2015 roku każde gospodarstwo w UE musi wyłączyć z produkcji 5 proc. gruntów ornych na tzw. powierzchnie ekologiczne. Jako takie powierzchnie traktowane będą uprawy roślin wiążących azot, na przykład strączkowe.

---

*Ale polityka dopłat bezpośrednich ma swoich wielkich przeciwników, którzy uważają, że finansuje się bogaczy, że 80 proc. miliardowych dotacji otrzymuje 20 proc. właścicieli wielkich gospodarstw rolnych.*

Są jednak w UE ograniczenia wsparcia, na przykład 300 tys. euro to maksymalna kwota, jaką można uzyskać. Jest jeszcze jeden zysk z dopłat bezpośrednich. W Europie, w odróżnieniu od Stanów Zjednoczonych, ocalała tradycyjna wieś, która jest nie tylko ważnym elementem krajobrazowym, ale pełni też istotną rolę w ochronie środowiska. Kiedy jedziemy przez na przykład Skandynawię nie mijamy przy drodze tysięcy hektarów kukurydzy czy pszenicy jak w Ameryce, tylko pięknie zadbane, kolorowe rodzinne domy i rodzinne gospodarstwa. Oczywiście takiej wielkości, żeby gwarantowały rodzinie godne życie.

---

#### ***Czyli generalnie uważasz, że dopłaty bezpośrednie spełniły swe zadanie w zjednoczonej Europie?***

Oczywiście. Europa nie zna dziś z autopsji słowa głód, a wieś europejska zachowała swoją specyfikę.

---

*No to odwracając wektory, być może choruje z przejedzenia? Media od czasu do czasu donoszą, też zresztą o tym wspominaliśmy, o górach „zbędnego” mięsa i masła. Zbędnego rzecz jasna dla sytych czy wręcz, przeżartych Europejczyków. Na Starym Kontynencie świat się przecież nie kończy? Kupca nie trudno byłoby znaleźć.*

Nie ma co ukrywać, są, i chyba zawsze będą, pewne skutki uboczne generalnie właściwej polityki rolnej. Nikt jeszcze nie wpadł na sensowny

pomysł, jak wykorzystać nadmiar żywności. Niegdyś wprawdzie plantatorzy dla utrzymania wysokich cen w latach klęski urodzaju topili w morzu zbędną kawę, albo palili zboże. Ale tak postępowano w dzikim okresie krwiożerczego kapitalizmu.

---

***A co powiesz na koncept, by po prostu sprzedać za bezcen, albo rozdać za darmo jadło tym, którzy potrzebują. Głodnych na tym najlepszym ze światów nie brakuje. Liczby szokują. Miliony ludzi każdego roku umierają z głodu, miliardy głodują, albo nie dojadają. Czy nie można do nich skierować tych nadwyżek żywności?***

Żeby problem był tak prosty jak ci się wydaje... Ale to temat na zupełnie inną rozmowę.

---

***Ponadto zgodzisz się ze mną, że rynek unijny zrobił się zamknięty, hermetyczny. Chociażby dla żywności amerykańskiej. Kiedy Amerykanie delikatnie raz czy dwa proponowali by nieco zmniejszyć dopłaty bezpośrednio, aby ich żywność stała się bardziej konkurencyjna farmerzy francuscy zwłaszcza reagowali bardzo ostro. Od razu proponowali aby palić McDonaldy.***

Powtórzę raz jeszcze. Zdarzały się pewne incydenty. Jednak mimo wielu mankamentów Wspólna Polityka Rolna Unii osiągnęła zamierzone cele. Zjednoczona Europa uzyskała bezpieczeństwo żywnościowe. I to jest fakt bezsporny. „Chleb powszedni” przestał być wyznacznikiem luksusu. Nie tylko człowieka zamożnego ale nawet bezrobotnego. A nawiasem mówiąc w USA też się dotuje rolnictwo.

---

***Unia (to znaczy wcześniej EWG) była rozszerzana już kilkakrotnie. I zawsze rolnicy byli największymi entuzjastami tego procesu.***

Ocena sytuacji przez pryzmat własnych interesów jest jak najbardziej uzasadniona. Ja też od kiedy zacząłem się interesować bliżej Unią uważałem, że rolnicy nasi najwięcej skorzystają na tej integracji. Żeby więc poznać nie tylko mechanizmy ale i meandry polityki rolnej ukończyłem zorganizowane przez posłów PSL roczne studium prowadzone przez nieżyjącego już wybitnego prawnika i ekonomistę profesora Mariana Błażejczyka z Instytutu Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk.

---

***Zanim opowiesz czego się nauczyłeś, warto przypomnieć sylwetkę profesora Błażejczyka, postać ogromnie barwną, godną sensacyjnego filmu***

***fabularnego?***

Masz rację. Marian Błażejczyk, urodzony i wychowany w Kutnie, jako piętnastolatek został wywieziony na roboty do Niemiec, stamtąd na Bałkany. Uciekł z transportu i trafił do armii jugosłowiańskiej ale tej, która zwalczała nie tylko Niemców, ale także komunistyczną partyzantkę Tity. Następnie znalazł się w wojsku polskim i doszedł z nim do Berlina. Zdemobilizował się w stopniu majora w 1951 roku, po czym ukończył studia prawnicze. I tak rozpoczęła się jego, wielka, nie waham się użyć tego słowa, kariera naukowa.

---

***Czego nauczył cię profesor Błażejczyk, nie rolnik przecież, ale prawnik z Polskiej Akademii Nauk?***

Można powiedzieć, że profesor nauczył mnie i innych słuchaczy (zaczynało nas kilkunastu a ukończyło siedmiu) unijnego abecadła. Co czeka polskie rolnictwo po wejściu do Unii, jakie kryteria powinno spełniać rodzinne gospodarstwo, aby rolnik mógł je sam prowadzić, a które powinno osiągać godziwe dochody. Jakie preferencje trzeba zapewnić młodym ludziom aby wybrali ten „najtrudniejszy zawód świata”. To określenie jest autorstwa Zygmunta Kobylińskiego, ojca Szymona Kobylińskiego, wybitnego rolnika, twórcę polskiego Przysposobienia Rolniczego. Ale wracajmy do naszego studium. Wiedza w nim zdobyta pozwoliła nam absolwentom na opracowanie projektu ustawy o gospodarstwie rodzinnym. Ustawa była nowoczesna i na wskroś europejska. Tak nowoczesna, że nie została przyjęta przez Sejm.

---

***Czy ta wiedza zdobyta na studium prof. Błażejczyka przydała ci się podczas twego „ministrowania”?***

Ależ oczywiście. Bez tej wiedzy nie miałbym czego szukać w rządzie.

---

***Zanim jednak przejdziemy do twojej batalii o unijne dopłaty, spróbujmy odpowiedzieć na pytanie: Czy w państwach zachodnich jest powszechna zgoda, na to, że „chłop śpi, zboże mu rośnie” a on otrzymuje jeszcze dopłaty. Przecież nie dopłaca się robotnikowi, inżynierowi, nauczycielowi a chłopu tak.***

Może gdzieś zdarzały się jakieś protesty, ale rachityczne, bez większego poparcia w społeczeństwie. Bo po prostu we Francji, w Niemczech w innych krajach ludzie pojmują, że żywność jest najważniejszym produktem dla człowieka i że rolnictwo to fabryka bez dachu, zależna przecież od przyrody, a zwłaszcza jej anomaliiów. Zboże co prawda rośnie w czasie snu chłopca, ale kiedy przyjdą deszcze, susze, wichury, przymrozki to zbiorów nie będzie. Między innymi

z tego powodu przecież do zawodu rolniczego nawet na zachodzie nie ma specjalnie chętnych. Bo mimo maszyn, komputerów, różnych ułatwień praca w rolnictwie zawsze jest na pełny zegar. Ludzie nie chcą tak ciężko harować. I wszyscy konsumenci rozumieją, że rolnicy muszą być pod specjalną ochroną. Dla dobra zarówno rolników jak i konsumentów.

---

*Ale przyznasz, że jeśli kiedyś dopłaty bezpośrednie były oczywiste, to obecnie często są poddawane krytyce, a nawet powątpiewa się w ich celowość. Chciałbym jeszcze raz odwołać się do książki Leszka Millera „Tak to było”. Na stronie 155 i 156 pisze on o wizycie duńskiego premiera Andersa Rasmussena w Warszawie jeszcze przed duńską prezydencją w Unii: „To co Rasmussen powiedział o rolnictwie, wprawiło mnie w stan lekkiego oszołomienia. Uważał, że powinno funkcjonować na zasadach wolnorynkowych. – Będziemy w Unii dążyć do stopniowego zniesienia dotacji bezpośrednich – zawyrokował. (...) Obecnie są zbędnym wsparciem dochodów rolniczych, bez związku z produkcją rolą. Pora z tym skończyć. Uważamy, że rolnikom z nowych państw dopłaty się w ogóle nie należą”.*

No, cóż Rasmussen mógł coś takiego powiedzieć w Warszawie, bo chyba by się nie odważył w Kopenhadze. Mógłby się narazić nie tylko tamtejszym rolnikom, ale i wyborcom przekreślając swą karierę polityczną. Co ja mówię, mógłby?! Miał to zagwarantowane jak w banku. W Warszawie pozwolił sobie na szczerłość. Jak na globalną wioskę informacyjną, powiało beztroską rodem z gangu Olsena. W każdym razie dał jasno do zrozumienia, że rolnicy państw kandydujących nie mogą liczyć na dopłaty bezpośrednie. A Unia robi łaskę, że w ogóle przyjmuje nowych członków, więc ci powinni się zgodzić na każde warunki.

---

***Zakładasz złą wolę? A może były też przyczyny obiektywne. Po prostu nagle zabrakło pieniędzy dla rolników z nowych państw. Największe unijne potęgi takie jak Niemcy i Francja, płacący najwyższą składkę netto (czyli więcej euro dawały niż brały) przechodziły wówczas spory kryzys i zwyczajnie ich kasy świeciły pustkami.***

Być może jest w tym odrobina racji. Niemcy na przykład nadszarpnęli kasę na zjednoczenie, miliardy euro pakując w byłą NRD, bo kto zabroni bogatemu. Ale nam, na dorobku, trudno było się pogodzić z faktem, że mamy płacić pełną, ogromną składkę unijną w żywej gotówce, zaś w zamian otrzymywać jakies ochłapy. Przecież nie tylko Rasmussen mówił, że nowym członkom nic się nie należy. Kanclerz Niemiec Gerhard Schroeder też twierdził publicznie,

że nie ma w kasie Unii pieniędzy nawet na 25 proc. dopłat w pierwszym roku członkostwa dla dziesiątki kandydującej, w tym także dla Polski.

---

*Kanclerz poszedł zdecydowanie dalej. Opublikował artykuł we „Frankfurter Allgemeine Sonntagszeitung”, w którym proponował aby negocjacje w sprawie dopłat do rolników zawiesić do jesieni. Postulował też aby kraje Unii znalazły inny sposób finansowania tych dopłat, bo Niemcy (ciągle jako płatnik netto) nie mają już na to pieniędzy. I niemiecki podatnik będzie się buntował. Leszek Miller komentując ten artykuł przypiął łatkę też tobie: „Jarosław Kalinowski zawyrokował, że projekt kanclerza doprowadzi do przekreślenia idei rozszerzenia Unii. Uznał, że już sama propozycja przesunięcia debaty na temat dopłat bezpośrednich jest złamaniem kalendarza negocjacyjnego, co bardzo źle wróży dalszym rokowaniom. Schroeder chciałby sprowadzić Polskę do członka drugiej kategorii, a to jest dla nas nie do przyjęcia”.*

Podtrzymuję to, co wtedy powiedziałem. To oczywiste, że Schroeder opublikował ten artykuł, aby uspokoić swoich zwolenników przed wyborami do Bundestagu, ale sprawa rozszerzenia Unii była zbyt ważna i nie powinna podlegać wyborczym nastrojom. Skoro zaprasza się 10 państw do europejskiej wspólnoty nie można demonstrować stanowiska, że dziesiątka ta będzie kulą u nogi dla Unii, albo, że będą te państwa członkami mniej wartościowymi. Kanclerz zaczął traktować nas instrumentalnie i na to zgody być nie mogło. A tak na marginesie, Bismarck powiedział 140 lat wcześniej, że kanclerz nie powinien pisać artykułów do prasy. Niemcom i kolegom z innych krajów, którzy mówili, że dopłaty to zły system, odpowiadałem, że jak wy z nich zrezygnujecie, to my nie będziemy o nie zabiegać.

---

***No właśnie. Kanclerz Schroeder zakwestionował w swym artykule przedwyborczym celowość dopłat bezpośrednich dla nowych członków, ale inny wpływowy Niemiec, unijny komisarz do spraw rozszerzenia Gunter Verheugen, napisał w czacie do polskich internautów, że 25 proc. dopłat w gotówce dla nowych członków to sprawa przesądzona. Lecz z tej deklaracji nie wszyscy się cieszyli. Polska zapłaci pełną składkę, a otrzyma tylko 25 procent dopłaty. Gdzie tu sprawiedliwość?***

A jednak te karłowate wypłaty niektórych satysfakcjonowały. Minister rolnictwa Słowenii piał z zachwyty, że Unia jest taka szczodra. A nasz prezydent Aleksander Kwaśniewski też pozwolił sobie na oryginalną myśl, że 25 procent

to lepsze niż nic. A przecież jako były dziennikarz mógł też napisać artykuł i poinformować czytelników, że skoro Polska płaci pełną składkę a otrzymuje tylko 25 proc. dopłat to de facto finansuje niemieckich, francuskich czy duńskich rolników.

I na to nie mogliśmy się zgodzić. A tak swoją wypowiedzią pan prezydent mocno nam skomplikował unijne negocjacje. Moi współpracownicy zaproponowali więc, że skoro otrzymamy tylko 25 proc. dopłat to powinniśmy płacić niższą składkę. Zaproponowałem na RM, by właśnie ten argument był podstawą do zmiany stanowiska negocjacyjnego w obszarze negocjacyjnym „budżet”, ale tę propozycję odrzucili już nasi ministerialni „europejczycy”. Ponadto w Polskim Stronnictwie Ludowym rozumieliśmy trudną sytuację płatników netto, ale mimo wszystko uważaliśmy, że jeśli nie możemy otrzymać pełnych dopłat to jednak musimy walczyć o co najmniej 60 proc. Tak zostało zapisane w specjalnej uchwale Rady Naczelnej PSL. Świadczyło to o naszym realizmie, gdyż sto procent wówczas istotnie nie wchodziło w grę.

---

*Z całym szacunkiem dla uchwały Rady Naczelnej. Do Unii ona raczej nie dotarła. SLD-owcy, którzy akurat rządzą ponarzekali z pewnością na pazernych wieśniaków. Natomiast ty i twój sztab wiedząc, że Unia idzie w zaparte szukaliście własnych rozwiązań, aby chociaż częściowo zadowolili chłopów, których szlag trafiał, że grecki albo portugalski małorolny dostawał czterokrotnie większe dopłaty niż polski rolnik.*

Moja ekipa współpracowników i doradców od początku szukała wyjścia z tej dziwacznej sytuacji. I wtedy Duńczycy zaproponowali 40 procent dopłaty dla nowych rolników. Część środków z drugiego filaru przesunięto do filaru pierwszego na podniesienie płatności.

---

**Rozszyfrujmy to ostatnie zdanie. Drugi filar to były fundusze przewidziane na modernizację i rozwój obszarów wiejskich.**

Tak. Przenosząc część tych środków na dopłaty, z tych nieszczęsnych 25 procent zrobiło się już 40 proc. Wtedy minister Siekierski zaproponował jeszcze 15 proc. więcej, czyli 55 proc. a brakujące pieniądze należało dołożyć z budżetu państwa.

---

*Czyli polski podatnik sam miał sfinansować część dopłat rolniczych. Przecież sojusz robotniczo-chłopski to hasło z zupełnie innej epoki. Czy po to wchodziliśmy do Unii?*

Masz na pewno rację. Ale wówczas nie było innego, lepszego wyjścia. Gdyby nasi rolnicy otrzymali tylko 25 procentowe dopłaty nie byłiby konkurencyjni wobec swoich unijnych kolegów. Należało im dać trochę więcej, w tym część z naszego budżetu. Po to by zaakceptowali wejście do europejskiej wspólnoty. Ich sprzeciw oznaczałby klęskę nas wszystkich.

Jak nie trudno przewidzieć oczywiście projekt ministra Siekierskiego też nie spodobał się panom ministrom i samemu premierowi. Najbardziej krytykowała ten pomysł pani Danuta Hubner wieszcząc, że jest to strzał we własne stopy. Absolutnie nie do przyjęcia. Zresztą nie tylko ona krytykowała naszą propozycję. Minister kultury i sztuki Waldemar Dąbrowski ironizował, że odnosi się wrażenie, iż to nie Polska, tylko polskie rolnictwo wchodzi do Unii. Myśmy jednak forsowali nasz projekt zwiększenia dopłat dla rolników nawet z własnego budżetu, wiedząc doskonale, że Unia nam raczej nie dołoży pieniędzy a chcieliśmy naszym rolnikom dać jakąś namiastkę ekonomicznego wsparcia. Taka, przynajmniej, zaledwie namiastka wsparcia, mogła wszak stanowić silną kartę przetargową w grze o Unię zważywszy, z czego zapewne nie wszyscy zdawali sobie sprawę, że los referendum unijnego zależeć będzie od postawy rolników.

---

**Odnoszę wrażenie, że Polska walczyła na froncie dopłat samotnie. A przecież do Unii aspirowało 10 państw. Czy nie należało bardziej zewrzeć szeregi, chociażby w ramach Grupy Wyszehradzkiej (Polska, Węgry, Czechy, Słowacja).** Otóż to. Kiedy doszło do ostatecznych negocjacji w Kopenhadze (13 grudnia 2002) to każdy kraj działał na własną rękę. Nie istniała żadna współpraca choćby właśnie w ramach Grupy Wyszehradzkiej mimo, że tydzień wcześniej premierzy tej grupy na spotkaniu w słowackiej miejscowości Smolenie koło Bratysławy podpisali porozumienie. Rzecz dotyczyła trzech spraw: zwiększenia puli środków na rozszerzenie, pierwotnie miała być o miliard euro większa, oraz zwiększenia dopłat bezpośrednich i skrócenia okresu dochodzenia do pełnej płatności. Premier Miller podpisał tę propozycję wspólnego stanowiska. Pamiętam jak dziś, że przyszedł do mnie w ministerstwie dr Jerzy Plewa z informacją, że odnieśliśmy wielki sukces, ponieważ Grupa Wyszehradzka będzie domagać się wyższych dopłat i krótszego okresu dochodzenia do pełnej płatności. I że wspólnie będzie można znacznie więcej osiągnąć. Pomyślałem wówczas, przynajmniej, nieco patetycznie, że w jedności siła. Niestety, nasza radość okazała się krótkotrwała i szybko prysła, gdyż nasz główny negocjator Jan Truszczyński dostał polecenie, jak sądzę od ministra Cimoszewicza, na pewno za zgodą premiera, i w Brukseli poinformował prezydentkę duńską, że Polska



wyraża zgodę na 10-letni okres dochodzenia do pełnej płatności. W Czechach, Słowacji i na Węgrzech zawrzało – oburzano się, że Polska walczyła w Smoleńcu zrejterowała.

To był, nie waham się użyć tego słowa, skandal! Zapytałem o to na posiedzeniu rządu (nie kryłem swojego zdenerwowania). Stanowisko wyrażające zgodę na dziesięcioletni okres zostało wycofane, ale tą decyzję poprzedziła kolejna awantura.

---

*Leszek Miller w swojej cytowanej już przez nas kilkakrotnie książce „Tak to było” napisał o spotkaniu Grupy Wyszehradzkiej zaledwie kilka zdań i to zupełnie banalnych.*

Gdyby wyznał dlaczego nie dotrzymał podpisanego porozumienia to byłaby na pewno pasjonująca lektura a jego „cegła” zyskałaby niewątpliwie smaczku autentyczności.

---

***Z książki Leszka Millera „Tak to było” wynika, że w tasiemcowych rządowych posiedzeniach walczyłeś sam, jak samotny szeryf z westernów o sprawy rolnictwa. Ale czy też nie przesadzałeś, z tymi klatkami dla drobiu, z dopłatami na produkcję chmielu czy nawet tytoniu. Większość ministrów, o ile nie wszyscy, byli nie palący trudno im było zrozumieć te argumenty.***

Najpierw sprostowanie zasadnicze. Nie byłem samotnym szeryfem, miałem wsparcie ze strony Stanisława Żelichowskiego, ministra ochrony środowiska. A więc było nas dwóch. Czy słusznie podnosiłem problem klatek dla drobiu, dopłat do chmielu itp. Przecież byłem ministrem rolnictwa i musiałem walczyć o te sprawy. Dopłaty do tytoniu? Przecież tysiące rolników żyje z tytoniu, bo ludziska kurzą papierosy czy nam się to podoba, czy nie? Jeśli uprawa tytoniu nie będzie opłacalna to nasi producenci pójdą z torbami a tytoń będziemy importować na przykład z Hiszpanii, bo tam jest tańszy z powodu dopłat. Ale masz rację – na posiedzeniach odbywał się nieraz prawdziwy sabat czarownic, a wszyscy na mnie patrzyli wilkiem, mieli pretensje, a najbardziej chyba minister Cimoszewicz.

---

***On przecież rolnik...***

Tylko teoretycznie i gazetowo. Ale wracając do owych posiedzeń Rządu. Ministrowi spraw zagranicznych wtórował Grzegorz Kołodko, czasami Jerzy Szmajdziński. Włączał się też, a jakże, szef kultury Waldemar Dąbrowski, a krytykował w białych rękawiczkach Krzysztof Janik.

Szczególnie dramatyczne było posiedzenie rządu 29 listopada. Mieliśmy wtedy rozstrzygnąć, z czym jedziemy do Kopenhagi 13 grudnia, czyli jakie sprawy uważamy za zamknięte, a o co będziemy walczyć w stolicy Danii. Posiedzenie zaplanowano na 2-3 godziny, a rozpoczynając się o 8 rano, trwało właściwie cały dzień i koncentrowało się głównie na rolnictwie. Każdy z ministrów zastał na swoim miejscu dokument z rekomendacjami Komitetu Integracji Europejskiej. A przecież powinniśmy go otrzymać dzień wcześniej, żeby go przeczytać. Poprosiłem więc o godzinną przerwę, by zapoznać się z dokumentem. Było w nim około dwudziestu rozbieżności w kwestiach rolnych między Polską a Brukselą, ale istniały również rozbieżności w ramach rządu.

Po przerwie obrady RM wyglądały tak: minister Truszczyński opisywał problem, np. kwot mlecznych: odczytywał propozycję Komisji (7 mln 200 tysięcy ton), co porównywał z naszą propozycją wyjściową (11 mln ton), podkreślając, że, według niego, jest to nierealne. Wtedy powstała rekomendacja dla Rady Ministrów aby przyjąć propozycję Komisji. Nie mogłem się na to zgodzić i argumentowałem, że zgoda na takie warunki będzie miała katastroficzne skutki dla sektora mleczarskiego. Przeciwny byłem jednak tylko ja i minister Stanisław Żelichowski z PSL, w związku z czym postanowiono przyjąć rekomendację ministra Truszczyńskiego. Podobnie wyglądało omawianie kolejnych punktów dotyczących rolnictwa: rząd przyjmował wszystkie propozycje Komisji przedkładane przez ministra Truszczyńskiego. Nie było sensu wchodzić w jakiegokolwiek dyskusje, gdyż Rada Ministrów działała jak maszynka do głosowania. O zabranie głosu poprosiłem dopiero przed podsumowaniem obrad przez premiera Millera. Oznajmiłem, że przyjęte rekomendacje oznaczają, że rząd polski chce jechać do Kopenhagi bez rolnictwa, poddając ten obszar. Prawdziwa konsternacja zapanowała jednak, gdy dodałem, że jako wicepremier, minister rolnictwa i prezes PSL składam „zdanie odrębne” od stanowiska rządu. To w praktyce zapowiadało zerwanie koalicji.

Premier zarządził przerwę. Po naradzie ze „swoimi” ministrami, poprosił również mnie do swojego gabinetu. Wtedy powiedziałem, że nie mogę zmienić zdania w trzech kluczowych kwestiach: kwocie mlecznej, wysokości dopłat bezpośrednich i tempa dochodzenia do pełnych płatności. Jeśli z tymi sprawami pojedziemy do Kopenhagi, to możemy dalej rozmawiać. Premier poprosił konstytucyjnych ministrów i zarządził nieformalne głosowanie. Okazało się, że większość przyznała mi rację. Tylko trzech było nieprzejednanych. Ostatecznie na wznowionej Radzie Ministrów

zrobiono korektę poprzedniego głosowania, w którym przyjęto moją propozycję.

**Odniosłeś zwycięstwo. Ale batalia twoja trwała nadal. Nie miałeś nieraz ochoty opuścić to towarzystwo i powiedzieć bawcie się dalej sami.**

Nie mogłem. Być może oni na to czekali. Ale gdyby koalicja została wtedy zerwana, do Unii pewnie byśmy weszli, ale rolnictwo uzyskałoby znacznie gorsze warunki. Bo te klatki i tytoń to były sprawy ważne, ale nie najważniejsze. Chodziło przede wszystkim o wysokość tzw. hurtowej kwoty mlecznej. Unia proponowała 7 mln ton, my chcieliśmy 11 mln ton.

**Może żądaliście zbyt dużo?**

Zawsze trzeba żądać nieco więcej, żeby otrzymać to, czego się oczekuje. Ale 7 milionów ton było kwotą nie do przyjęcia. Przyjmując propozycje Unii, bylibyśmy dziś importerem mleka i produktów mlecznych, a nie znaczącym ich eksporterem.

**Powołajmy się jeszcze raz na książkę Leszka Millera „Tak to było”. Otóż czerwoni ministrowie uważali, że jesteś zakładnikiem ekstremy PSL, że ty byś poszedł na ustępstwa, ale twój aktyw nie wyrazi zgody. Na jednym z wielogodzinnych posiedzeń Rady Ministrów (czy też chodziło o Radę Ministrów 29 listopada 2002) kiedy na życzenie ministra Żelichowskiego ogłoszono przerwę, wicepremier Marek Pol powiedział do Millera i grupy konstytucyjnych ministrów: „Jarek ma ciężką sytuację, jego przeciwnicy są w ofensywie, a zwolennicy milczą. Trzeba coś dla niego zrobić”. Pryncypialny Kołodko warknął „ani złotówki czy euro więcej na rolnictwo”. Ale Miller, tak przynajmniej pisze w swojej książce, polecił Truszczyńskiemu aby poszukał jeszcze jakichś nawet symbolicznych zmian w tych punktach, które wcześniej zgłaszałeś. I wtedy wycofałeś swe odrębne zdanie. Rada Ministrów mówiła jednym głosem.**

Za moją wersją przebiegu posiedzenia RM świadczą protokoły i stenogramy z Rady Ministrów a także ministrowie z PSL uczestniczący w tym posiedzeniu, Stanisław Żelichowski oraz Andrzej Kosiniak-Kamysz, zastępujący ministra zdrowia. Tu znowu opis zdarzeń przez Leszka Millera jest koloryzowany, bo dzisiaj trudno jest mu przyznać, że chciał poddać rolnictwo bez negocjacji w Kopenhadze.

## Prasa o negocjacjach z Unią Europejską

Gazeta Wyborcza, 12 listopada 2002

**„Unia Europejska, nie rolnicza”**

Trzeba przyznać, że kilku grupom rolników wejście do Unii przyniesie kłopoty. Ciężej będzie dużym producentom pszenicy (przy podobnych kosztach będą otrzymywali mniejsze dopłaty niż farmerzy w krajach UE i w efekcie będą mniej konkurencyjni), ciężej będzie małym rolnikom, którzy mają po dwie krowy i sprzedają mleko do małych mleczarni – bo mogą one po prostu zniknąć z rynku. Ciężej będzie też rybakom wystawionym na konkurencję nowoczesnych kutrów na przykład ze Szwecji lub Niemiec.

Jednak nie jest tak, że wszyscy rolnicy stracą. Gospodarze na 20 ha już w pierwszym roku dostaną około 600 euro dopłaty bezpośredniej (...). Struktura polskiej wsi jest dość nieefektywna, za mało rolników uczestniczy w grze rynkowej, więc proces zanikania małych gospodarstw będzie postępował tak czy siak. Tylko wchodząc do UE i czerpiąc z jej środków, Polska będzie mogła łagodzić ten proces.

Konrad Niklewicz

Gazeta Wyborcza, 13 listopada 2002

**„Nie można pominąć rolników”**

Nie wszyscy rolnicy stracą na integracji, pisze Konrad Niklewicz (...). I podbija tę tezę przykładem chłopca, który gospodaruje na 20 ha – „już w pierwszym roku dostanie około 600 euro dopłaty bezpośredniej”, czyli blisko 2,4 tys. zł. Bardzo przyjemnie jest coś dostać, nawet 2,4 tys. zł, ale jeśli przytacza się zyski, to zawsze trzeba spojrzeć na koszty. Bo 2,4 tys. zł zyska na pewno tylko ten chłop, który swojej ziemi w ogóle nie uprawia, a dochody czerpie z działalności pozarolniczej. Jeśli jednak uprawia, to trzeba policzyć, jak zmieniają się dochody jego gospodarstwa po zmianach cen skupu, które nastąpią po integracji. Śmiem twierdzić, że dla zdecydowanej większości rolników produkujących na rynek straty w pierwszych latach będą większe niż zyski.

Krystyna Naszkowska

Gazeta Wyborcza, 27 listopada 2002

### „Lepsze Danie”

Duńczycy przedstawili wczoraj lepszą propozycję finansową dla kandydatów do Unii Europejskiej i prą do szybkiego zakończenia rozmów. (...) Główne punkty oferty to: rekompensata dla polskiego budżetu w pierwszym roku w Unii; zgoda na podniesienie dopłat dla rolników do 40 proc. unijnego poziomu (dotąd Unia mówiła o 25 proc.) dzięki przesunięciu 20 proc. funduszy na rozwój obszarów wiejskich; zwiększenie limitów produkcji rolnej. W rezultacie Polska otrzyma w 2004 roku z budżetu Unii 1,5 mld euro netto, a w latach 2004-2006 – 6,5 mld euro.

Roman Sołtyk

### „Równać w górę”

Duńska propozycja wyznacza granicę szczodrości w unijnym skąpstwie. Rozumiemy, że nie da się więcej, bo sytuacja budżetowa UE ani opinia publiczna krajów „15” szczodrości nie sprzyjają. Wiemy, że wejście do Unii to trochę więcej niż ten finansowy pakiet. To długookresowe zobowiązanie dzielenia się z nami władzą, portfelem i odpowiedzialnością w Europie. Wierzmy jednak, że wciąż jeszcze można ten gest poprawić. Równać w górę a nie obcinać w dół. To drugie byłoby fatalnym błędem. W Polsce centroprawica przyjęła postawę antyunijnych radykałów, którzy tylko czekają na taki błąd ze strony unijnych stolic.

Dlatego apelujemy do przywódców, ministrów, ambasadorów i doradców państw Piętnastki – nie przeciągajcie struny, jest i tak napięta. Czy Europa chciałaby Polski jako upokorzonego partnera, który przez pierwsze lata w Unii nie będzie w stanie otrząsnąć się z negocjacyjnego szoku.

Jacek Pawlicki

Rzeczpospolita, 4 grudnia 2002

### „Okragły stół Rzeczpospolitej”

Jestem sceptyczny co do możliwych ustępstw na ostatniej prostej. Popelniliśmy w tych negocjacjach dość poważny błąd. Odbywają się one w cieniu przekonania klasy politycznej i negocjatorów, że musimy wejść do Unii i to w 2004 roku. „15” doskonale to wie i wykorzystuje. Powiedzmy sobie jasno: Bruksela zaproponowała nam warunki nierównoprawne. A przecież we-

wnątrz „15” obowiązuje zasada solidarności, więc Unia powinna uwzględnić, że przyjęcie dziesięciu krajów słabiej rozwiniętych musi kosztować. Unia Europejska od początku była zbudowana na dwóch nogach – solidarności i wspólnym Jednolitym Rynku. Na obydwu tych nogach dalej stoi. A nam mówi, że mamy stać na jednej.

Prof. Ryszard Bugaj

Miesiąc temu w Parlamencie Europejskim przywódca frakcji ludowochadeckiej wygłosił dramatyczne przemówienie, że będzie katastrofą dla Unii, jeśli przyjmie dziewiątkę bez Polski. Zastanawiano się wtedy nad kontekstem tego przemówienia. Okazuje się, że są dość szerokie kręgi polityczne w różnych krajach „15” a zwłaszcza w biurokracji brukselskiej, które szukają alibi, by Polska w pierwszej turze rozszerzenia się nie znalazła.

Słusznie walczymy o lepsze warunki, kontyngenty, trochę wyższe stawki, o dodatnie saldo. Ale zwróćmy również uwagę na problem bezpieczeństwa. Bezpieczeństwo gospodarcze i polityczne naszego kraju to sprawa szczególnie ważna. Wejście jako partner do UE nas zabezpiecza. Jeśli nie wejdziemy do Unii to znikąd też nie dostaniemy zasilenia potrzebnego do rozwiązania naszych problemów strukturalnych i bezrobocia.

Trzeba po prostu być w środku. Kim innym jest partner, kim innym pent, który jest na zewnątrz.

Red. Andrzej Wielowieyski

Gazeta Wyborcza, 5 grudnia 2002

### Debata Sejmowa

Andrzej Lepper, Samoobrona

Dziś stoimy w narożniku jak ten bokser co miał już dwa knock-downy. Już czekamy na trzeci cios. (...) Nie mówmy społeczeństwu, że wejdą do Unii inne państwa a nie wejdzie Polska. Czy ktoś rozsądny wyobraża sobie, że Litwa, Łotwa, Estonia będą w UE, a Polska nie będzie? Wyobraźni tu brakuje.

Samoobrona nie jest partią antyeuropejską i nie będzie. Jest partią poważną, która myśli o przyszłości Polski, która widzi perspektywicznie nie tylko koniec własnych butów, ale także końce butów naszych dzieci, wnuków i prawnuków. Na dziś Samoobrona mówi „nie” dla integracji. Ale wierzymy, że rząd jeszcze zrobi wszystko i w ostatniej minucie czy sekundzie stanie się cud i Unia zechce potraktować Polskę jako równorzędnego partnera.

Zakończę staropolskim powiedzeniem: Umiemy liczyć? Liczymy na siebie. Balcerowicz musi odejść!

Eugeniusz Kłopotek, PSL

*PSL od lat opowiada się za wejściem do Unii, ale pod dwoma warunkami: zapewnienia, że Polska nie będzie płatnikiem netto i zagwarantowania, że polscy rolnicy będą mieli równe warunki konkurencji.*

*Ostatnia propozycja finansowa Danii daje szansę na usunięcie groźby niezrealizowania pierwszego warunku. I kiedy ta propozycja się pojawiła, odnieśliśmy wrażenie, że z naszych negocjatorów uszło powietrze. Na twarzy naszego premiera pojawiło się zadowolenie i ulga. A teraz o ten drugi warunek niech się martwi Kalinowski i PSL. To nie tylko problem wicepremiera, ministra rolnictwa i szefa ludowców Jarosława Kalinowskiego, PSL czy polskich rolników. Prawie 50 proc. unijnego budżetu to środki na Wspólną Politykę Rolną? Tamte kraje. Spójrzmy, jak Francja, jak Duńczycy, jak Niemcy bronią swojego rolnictwa. Czy to jest problem tylko rolnictwa? To jest problem całego narodu.*

*Przez trzy pierwsze lata po wstąpieniu do UE, a być może dłużej nasza sytuacja może być gorsza niż dzisiaj, zwłaszcza sytuacja budżetu państwa. Trzeba się zastanowić jak przekonać polskich obywateli, którzy pójdą na referendum, że warto jeszcze dodatkowe wyrzeczenie ponieść.*

*Dzisiejsza debata śledzona też będzie w państwach UE i nie możemy sobie pozwolić na to, żeby tam odniesiono wrażenie, że jesteśmy pogodzeni z warunkami członkostwa, tak jak pogodziły się już społeczeństwa pozostałych dziewięciu krajów kandydujących.*

Stanisław Gudźowski, LPR

*Szanowni Państwo, handlujecie, kupczycie Polską i narodem. Sprzedajecie ojczysty dom, nie mając szacunku do wyższych wartości. Tylko nędzne srebrniki odbijają się w waszych żrenicach.*

*Polski trzeba bronić przed kolejnym kolchozem, który nosi teraz miano UE, co można tłumaczyć Upadek Europy. Chcemy aby Europa była silna i stabilna, sprawiedliwa i uczciwa, była wzorem dla całego świata. Ale nie chcemy, aby zaraza biurokracji ją zniszczyła, bo zbyt duży jest wkład narodu polskiego we wspólne dobro europejskie. Jak powiada Ojciec Święty, Europa ma być wspólnotą ojczyzn i o tym należy pamiętać.*

*LPR stawia pytanie zaczynające się od słowa „czy”, a pytania negocjatorów to „jak i za ile”. Przy takich pytaniach negocjatorów można nazwać powielaczami. Kiedy byle urzędnik w Brukseli słyszy, że Polska nie ma żadnej alternatywy i zrobi wszystko aby dołączyć do grona wasali, to o jakich my negocjacjach rozmawiamy. Nawet porządnie pohandlować nie potraficie. Każda przekupka z jarmarku ustaliłaby lepsze warunki bo wie, że kiedy się sprzedaje to się swój towar chwali.*

Rzeczpospolita, 13 grudnia 2002

Anders Fogh Rasmussen, premier Danii

*Wzywam do kompromisu i elastyczności państwa członkowskie Unii Europejskiej i 10 państw kandydujących. Celem jest zapewnienie sukcesu w ponownym zjednoczeniu kontynentu. Rozszerzenie może się jeszcze nie udać i wówczas byłoby opóźnione o wiele lat. Bardzo będę żałował, jeśli nie uda się porozumieć i Polska nie przystąpi do Unii. Ostatnie wypowiedzi przedstawiciela polskiego rządu wskazują, że Polska jest gotowa zaakceptować kompromisowe propozycje.*

Gazeta Wyborcza, 13 grudnia 2002

Romano Prodi, szef Komisji Europejskiej

*Dlaczego nie mielibyśmy po prostu dać trochę pieniędzy krajom Europy Środkowo-Wschodniej, jeśli się okaże konieczne, by zakończyć negocjacje? Myślę, że powinniśmy to zrobić.*

Jan Nowak-Jeziorański

*Jeżeli Unia Europejska nie zdobędzie się na lepsze warunki, no to cóż, nie mamy wyboru, nasi negocjatorzy będą musieli przyjąć te warunki, bowiem Polska musi wejść do Unii Europejskiej. Mam jednak nadzieję, że nasi unijni partnerzy nie pozostawią nas w tej sytuacji, żebyśmy w referendum musieli powiedzieć „nic nie dostaliśmy”.*

Jan Kułakowski, były główny negocjator

*Oczywiście, to jest ryzyko, to jest wyzwanie, ale przecież na tym polegają negocjacje. I nie chciałbym recenzować obecnych negocjatorów. Powinniśmy trzymać za nich kciuki. Unia Europejska politycznie chce tego rozszerzenia, nie pozostawi nas w sytuacji „bierzcie to co jest, albo do widzenia”*

Jeorios Papandreu, minister spraw zagranicznych Grecji

*Miejmy nadzieję, że Polska znajdzie się wśród dziesięciu nowych krajów członkowskich Unii Europejskiej. Wszyscy tu w Kopenhadze wierzymy, że Polska będzie z nami. Decyzje zapadną dziś w nocy i jutro, tak by 16 kwietnia w Atenach podpisać traktat akcesyjny. Będziemy do tego dążyć. Negocjacje z Polską są bardzo trudne. Przed nami jeszcze godziny takich trudnych rozmów. Będziemy się mocno starali, bo chcemy mieć Polskę w Unii.*

## „Kalinowski przed poprzeczką”

Dziś w Kopenhadze rozpoczyna się ostatnia runda negocjacji. Od wyniku zależy, czy kiedy i na jakich warunkach wejdziemy do Unii Europejskiej. Nasza drużyna czyli „polityczne kierownictwo rządu” wydaje się zwarta i gotowa jak nigdy. Ale sytuacja jest trudna – pojechaliśmy do Kopenhagi z pękatym pakietem, a nie dwiema czy trzema niezalutwionymi sprawami, na co zrazu się zanosilo. Nadal mamy szansę na sukces, ale tylko pod warunkiem zgodnej gry całej drużyny. Rolę do odegrania każdy ma inną, ale o wyniku meczu decyduje gra zespołowa, trzeba nieco ustąpić z partykularnych interesów.

Każdy z „kierownictwa politycznego rządu” zabrał na te rozmowy własny bagaż. Co innego dręczy ministra finansów Grzegorza Kołodkę, co innego chce osiągnąć wicepremier Marek Pol. Bagaż ministra rolnictwa Jarosława Kalinowskiego jest wyjątkowo ciężki. Przez cały okres negocjacji Kalinowski zmagał się z kolegami z własnej partii zarzucającemu mu zbytnią uległość, z kolegami z rządu uważającymi go za upartego twarziela od chłopskich interesów oraz z opinią publiczną w miastach, która nie rozumie, dlaczego z powodu wielkości produkcji mleka mielilibyśmy opóźnić członkostwo w Unii.

Tylko Kalinowski zostanie natychmiast rozliczony z wynegocjowanych warunków przez swój elektorat. A przecież wie, że nie przywiezie warunków, które polscy rolnicy uznają za bardzo dobre. Od dawna nie ma mowy o uzyskaniu tego co mają farmerzy unijni. Kalinowski bije się już tylko o poprawienie oferty Unii w sprawach, które uzna za najważniejsze. Ale musi mieć świadomość, że w niektórych – choćby wydawały mu się oczywiste – poprzeczki nie przeskoczy. Można na przykład uznać za restrykcję ograniczenie nam przez Brukselę wysokości dopłat bezpośrednich z budżetu krajowego, ale takie żądanie Komisja Europejska stawia wszystkim kandydatom. Nie jesteśmy tu dyskryminowani, a skoro inni kandydaci to zaakceptowali sami niewiele wskóramy.

Trzeba więc wstrzymać napięcie tych ostatnich godzin i w ferworze sporów nie zatracić sensu negocjacji. A jest nim wejście do Unii w 2004 roku, które okaże się korzystne także dla naszych rolników. To swoisty paradoks; nawet jeśli nie uzyskają na początku równych praw z farmerami unijnymi, nawet jeśli część z nich przegra w tej konkurencji, to polska wieś i sami rolnicy w perspektywie kilku lat zyskają. I do tego odpowiedzialny minister rolnictwa musi umieć przekonać wieś.

Krystyna Naszkowska

## Kopenhaga

### „Być albo nie być” w Unii Europejskiej

*Jak to się stało, że pojechaliście do Kopenhagi nie po wspólne zdjęcie Dziesiątki kandydatów i nie na bankiet u królowej Małgorzaty tylko na twarde negocjacje decydujące o „być albo nie być” w Unii?*

No cóż, poprzedni mniejszościowy rząd Jerzego Buzka nie robił w tym zakresie wiele. A ponieważ nie miał szans na reelekcję zostawił sprawy unijne swoim następcom. Tymczasem pod względem zamkniętych spraw negocjacyjnych Polska znajdowała się na ostatnim miejscu wśród dziesięciu kandydujących państw. Nic więc dziwnego, że nowy koalicyjny rząd Leszka Millera, nadrabiając kolosalne zaległości musiał wykonać pośpiesznie, jak to się mówi w niedoczasie, ogromną pracę.

*I rząd Millera bardzo się śpieszył. A pośpiech w tej sprawie był wyjątkowo niewskazany, jak mówi ludowe przysłowie dobry jest przede wszystkim przy łapaniu pcheł.*

No właśnie. Ponadto naszym koalicjantom bardzo przeszkadzały sprawy rolnictwa. Niemal wszyscy ministrowie uważali, że należy przyjąć ofertę Unii, gdyż na więcej i tak nie ma co liczyć. Inne kraje kandydujące potulnie zgadzały się na propozycję „piętnastki”, bo przecież „stara Unia” może się obrazić i do europejskiej wspólnoty nie przyjmie kandydata, który będzie żądał zbyt dużo.



Jako minister rolnictwa musiałem pilnować spraw polskich rolników i zadbać o uczciwą konkurencję z rolnikami niemieckimi, francuskimi, holenderskimi czy duńskimi. Dlatego chcieliśmy na miejscu w Kopenhadze wynegocjować ostatecznie trzy ważne sprawy rolne: wysokość dopłat bezpośrednich, czas dochodzenia do pełnej płatności i kwotę produkcji mleka.

---

*Od jednego z działaczy ludowych usłyszałem kiedyś określenie „nasi trzej muszkietierowie”. Miał na myśli ciebie, doktora Jerzego Plewę i doktora Czesława Siekierskiego. Zabrzmiało walecznie. Istotnie w delegacji rządowej znalazłeś się razem z twoim zastępcą dr Jerzym Plewą, wybitnym znawcą spraw unijnych, zaś trzeci ekspert dr Czesław Siekierski, sekretarz stanu w ministerstwie rolnictwa czuwał na posterunku w Warszawie. Wasza trójka miała zadbać, aby rolników nie skrzywdzono zbyt w Kopenhadze.*

I wyobraź sobie, że niewiele brakowało, żebym do Kopenhagi wcale nie pojechał.

---

#### **Czy przypadkiem nie przesadzasz?**

Absolutnie nie. Kilka dni przed wyjazdem do stolicy Danii premier Leszek Miller zaprosił na obiad dotychczasowych premierów nowej Rzeczypospolitej. Przybyli wszyscy z wyjątkiem Jana Olszewskiego. Tadeusz Mazowiecki miał wtedy zadać Leszkowi Millerowi pytanie: kto jedzie? Miller odpowiedział, że Danuta Hubner i Włodzimierz Cimoszewicz. Wtedy Tadeusz Mazowiecki zapytał, czy do Kopenhagi jedzie Jarosław Kalinowski, bo przecież sprawy rolnictwa są bardzo ważne. I wtedy Miller powiedział, że jestem członkiem delegacji. Obawiam się jednak, że wcześniej nie było mnie na liście wyjeżdżających.

---

*Czy wówczas uważałeś, że jeśli w rządzie sprawy rolnictwa zostaną wchłonięte do kąta użyjesz ostatecznego argumentu o zerwaniu koalicji.*

Do tego upoważniła mnie Rada Naczelna Polskiego Stronnictwa Ludowego. Wiedziałem również, że nasi członkowie są za integracją europejską, ale na partnerskich warunkach. I te partnerskie warunki musieliśmy wywalczyć do końca w Kopenhadze. Leszek Miller wiedział, że jestem uparty i nie pójdę na kompromis za wszelką cenę.

---

**Przed odlotem z Okęcia premier Miller powiedział do dziennikarzy – „to najważniejsza podróż w mojej politycznej karierze. Myślę, że to najważniejsza podróż, jaką kiedykolwiek odbył premier III RP”.**

Ładnie powiedziane. Premier już na lotnisku przekonywał dziennikarzy, że następnego dnia odniesie sukces. Bo czy było możliwe, żeby Polska, blisko 40 milionowy kraj znalazł się poza Unią? Nie ulegało też wątpliwości, że główny negocjator duński premier Anders Rasmussen zrobi wszystko aby Polacy nie stawiali zbyt wygórowanych żądań. Zanosilo się więc na twardy bój, którego ofiarą mógł paść w pierwszej kolejności obiad u królowej Małgorzaty przewidziany na godzinę 17.00.

---

*Ironizujesz, a ten obiad był też chyba bardzo ważny. Leszek Miller, wbrew chińskiemu przysłowiu (mądry mówi o tym co widział, głupi o tym co jadł) rozpisuje się w książce „Tak to było” o swoich upodobaniach żołądkowych na obiadach służbowych, w różnych środowiskach, także u kanclerza Schroedera w domu. Czytelnik lyka ślinę i wzdycha, jak to dobrze być premierem. W Polsce naturalnie.*

Niestety obiadu nie było, więc treść książki jest na pewno uboższa.

---

#### **Wróćmy do meritum. W Kopenhadze wylądowaliście późno w nocy...**

Po północy zakwaterowaliśmy się w hotelu Radisson.

---

#### **Czy byłeś wcześniej w Kopenhadze?**

Tylko przejazdem w drodze do Oslo. Ale i tym razem nie liczyłem, że poznam choć trochę to piękne miasto. Dochodziła już godzina pierwsza kiedy premier zrobił nam operatywkę. Jakież było nasze zdziwienie, gdy Truszczyński poinformował że Rada jest gotowa rozmawiać o wszystkich naszych rolnych postulatach, nie tylko o trzech wcześniej wspomnianych. Byłem zbulwersowany, gdyż właśnie okazało się, że nie musieliśmy przyjmować propozycji Komisji na pamiętnej Radzie Ministrów, że możemy negocjować.

---

#### **Czy Truszczyński nie wiedział tego wcześniej?**

Tego nie wiem. Ale skoro chcę rozmawiać o wszystkim, to będziemy rozmawiać. W tej sytuacji razem z ministrem Jerzym Plewą wybraliśmy najważniejsze problemy do negocjacji. Do trzech najważniejszych dodaliśmy jeszcze kilka. Wzbudziło to protesty Włodzimierza Cimoszewicza, który nie zgadzał się na rozszerzenie katalogu spraw do negocjacji. Emocjonalnie podkreślał, że kwota mleczna na poziomie 11 mln ton jest nierealna, żeśmy „poszaleli”. W swoim uniesieniu zażądał nawet, by Jerzy Plewa opuścił posiedzenie. Stanowczo zaprotestowałem, mówiąc, że jeśli on wyjdzie, to ja również. Ostatecz-

nie został, ale nie mógł zabierać głosu. Napiętą atmosferę próbował łagodzić premier Miller, którego zwrot sytuacji również zaskoczył. W konsekwencji przywróciliśmy większość z naszych pierwotnych postulatów. Z perspektywy czasu wiem jednak, że mogliśmy osiągnąć jeszcze więcej, na przykład podnosząc sprawę skrobi.

---

*Negocjacje zaczęły się stosunkowo wcześnie, o 8.30. Leszek Miller wraz z Danutą Hubner udali się do premiera Danii na pierwszą rundę.*

Negocjatorzy wrócili z niej zdruzgotani. Rasmussen odrzucił wszystkie propozycje, jako mało poważne. Mówił wprost: „Jeśli nie jesteście gotowi wejść do Unii to trudno, jeśli chcecie zerwać rokowania, zawsze możecie to zrobić. To będzie wasza klęska” itp.

---

*Czy nie uważasz, że Rasmussen jak wytrawny sportowiec grał na czas? Postraszył Millera i myślał, że to wystarczy. Tym bardziej, że zgodził się na kolejne spotkanie za dwie godziny.*

Ja też premierowi nie ułatwiałem życia. Uważałem, że wszystkie najważniejsze postulaty rolne muszą zostać załatwione. W przeciwnym razie będzie to koniec koalicji. Takie postawienie przeze mnie sprawy oczywiście premiera nie przeraziło. Ostatecznie, i tak z koalicji nas wkrótce wyrzucił. Prawdziwą groźbę stanowiło to, że społeczeństwo wtedy mogłoby powiedzieć „nie” w referendum.

---

*W drugiej turze rozmów jeszcze nie poruszono „chłopskich spraw”. Ale Miller osiągnął już sukces. Rasmussen zgodził się na przesunięcie miliarda euro z funduszy strukturalnych bezpośrednio do budżetu.*

Pozwól, że przypomnę, jak ta sytuacja wyglądała. Przed przyjazdem do Kopenhagi Miller odbył szereg rozmów z lewicowymi szefami państw zachodnich i był przeświadczony o ich poparciu w staraniach o zwiększenie puli środków przeznaczonych dla nas o 2 mld euro, dzięki czemu w pierwszym roku naszego członkostwa nie bylibyśmy od razu płatnikami netto. To miała być formalność. Jednak na pierwszym spotkaniu z A. Rasmussenem Millera spotkał zimny prysznic. W tej sytuacji chciał koniecznie rozmawiać z szefami delegacji Niemiec, Szwecji, Wielkiej Brytanii. Wydawał się zagubiony. Cały jego plan spalił na panewce. Sytuację uratował Włodzimierz Cimoszewicz. Muszę przyznać, że bardzo mi wówczas zaimponował. Chciał znaleźć rozwiązanie awaryjne i udało mu się. Zapropo- nował przesunięcie dwóch mld euro z polityki spójności bezpośrednio do

budżetu. Wicepremier Marek Pol nie był z tego posunięcia zadowolony. Nie chciał oddać pieniędzy ze swojego obszaru. Pamiętne były wówczas słowa Grzegorza Kołodki, ale te niestety nie nadają się do publikacji. Po sprawdzeniu okazało się, że pomysł Włodzimierza Cimoszewicza rzeczywiście był dobry i został poparty przez Niemców, Brytyjczyków i Szwedów. Koncepcja dwóch mld euro była uratowana, a premier Miller znów przejął szefostwo polskiej delegacji.

---

*Z wielokrotnie już cytowanej książki Leszka Millera wynika, że to właściwie on prowadził negocjacje, oczywiście ze swoimi pomocnikami. A przecież w sprawach rolnictwa rozmowy prowadzili minister Jan Truszczyński i wice-minister Jerzy Plewa.*

Tak. Te rozmowy trwały kilka godzin i przyniosły parę znaczących ustępstw ze strony Komisji Europejskiej. Po pierwsze uzyskaliśmy jako jedyny kraj kandydujący uproszczony system dopłat. Trudno przecenić wagę tej decyzji, pamiętając o strukturze naszego rolnictwa. Istniało przecież jeszcze u nas wiele gospodarstw drobnych, socjalnych, niewiele produkujących na rynek. W systemie standardowym znaczna ich część nie otrzymałaby żadnego dofinansowania.

---

*Zadbalismy o małorolnych?*

Tak, bo te niewielkie gospodarstwa też pełniły w naszym rolnictwie dość istotną rolę, nawet jeśli produkowały wyłącznie na własne potrzeby. Zresztą małe gospodarstwa to nie tylko polska specjalność. Jest ich bardzo dużo we Włoszech i Austrii i mają się tam dobrze. Dodam tutaj, że dzięki dopłatom bezpośrednim uproszczonym wykorzystaliśmy fundusze unijne na ten cel w ponad 90 procentach. W systemie standardowym nie przekroczylibyśmy 60 proc. Uratowaliśmy więc dla naszego rolnictwa co najmniej 2 miliardy euro.

---

*To był na pewno twój sukces i twojej grupy ekspertów. Ale w sprawach wysokości dopłat bezpośrednich niewiele zdołaliście utargować. Tu przedstawiciele Komisji Europejskiej byli nieprzejednani. Zresztą już wcześniej unijni liderzy zarówno główny negocjator Rasmussen i przyjaciel Millera kanclerz Schroeder twierdzili, że nowym członkom Unii żadne dopłaty się nie należą. Siła złego na jednego. Ostatecznie Komisja Europejska łaskawie zaproponowała 25 proc. dopłat dla nowych członków i na 10 lat dochodzenie do pełnej płatności. Nasi czołowi politycy cieszyli się z tego faktu ogromnie. Prezydent*

Aleksander Kwaśniewski był jakże wdzięczny za hojność Unii, a premier Miller popisał się talentami matematycznymi stwierdzając publicznie, że 25 procent to więcej niż zero. A kiedy Rada Naczelna PSL podjęła uchwałę, że polskich rolników zadowoli 60 proc. dopłat zewsząd doszły do nas głosy oburzenia na „pazernych” chłopów, przez których Polska nie wejdzie do Unii. Określano nas nawet agroszantażystami. Wiedząc, że nie damy rady uszczknąć czegokolwiek więcej z unijnych funduszy moja grupa ekspertów zaproponowała inną koncepcję dopłat bezpośrednich, tak żeby i rolnik był w miarę zadowolony i żeby Unia nie zbankrutowała.

---

*Wspominałeś już o tym. Minister Czesław Siekierski zaproponował przeniesienie pewnej części środków strukturalnych na dofinansowanie dopłat bezpośrednich i uzupełnienie kwot na dopłaty z budżetu państwa. Ta propozycja została skrytykowana przez rząd Leszka Millera a zwłaszcza przez szefową Komitetu Integracji Europejskiej Danutę Hubner. A jak ta interesująca, choć kontrowersyjna koncepcja została oceniona w Kopenhadze w czasie negocjacji ostatniej szansy?*

Urzednicy unijni w Kopenhadze ocenili ją pozytywnie do tego stopnia, że mogli z niej skorzystać także inni kandydaci do Unii. Nawet ci, którzy w pośpiechu zakończyli już negocjacje. Jeszcze raz potwierdziło się, że łatwiej było negocjować sprawy polskiego rolnictwa w Brukseli albo w Kopenhadze niż w Warszawie na posiedzeniach rządu.

---

*Ale 55 procentowe dopłaty to też nie był szczyt marzeń polskich rolników. Niektórzy wszak nazywali „wyszarpanie” 55 procentowych dopłat zgniłym kompromisem. Ot, taka różnica poglądów między aż a tylko.*

Ta różnica między 25 a 55 proc. przeliczona na złotówki do 1ha rocznie to około 250 zł. Ta kwota przez 10 lat członkostwa dała w sumie w tym okresie 2,5 tys. zł na hektar więcej. Średnie gospodarstwo w Polsce liczy 10 ha, czyli to zwiększenie dało średniemu gospodarstwu w Polsce 25 tys. zł więcej. Nie ulega wątpliwości, że wynegocjowane przez nas dopłaty w większym stopniu nie rekompensowały wzrostu kosztów produkcji rolnej. Toteż nigdy nie mówiłem, że był to nasz sukces tylko niezły wynik. Wydaje mi się jednak, że gdybyśmy podobną jak w stolicy Danii determinację wykazali we wcześniejszej fazie rokowań kopenhaski wynik byłby zdecydowanie lepszy nie tylko w rolnictwie.

---

*Zbliżała się godzina 17.00. Kucharze w Pałacu Królewskim uwijali się jak w ukropie, aby przygotować wyszukane dania dla zgłodniałych go-*



*ści, głów państw, premierów, ważnych urzędników Komisji Europejskiej. I chociaż ci panowie (pań było niewiele) jadali już w różnych towarzystwach to obiady u królowej nie zdarzały się zbyt często. Niestety nie doczekali się tego wykwintnego obżarstwa. Musieli zadowolić się tandetnymi obiadekami w miejscowych bufetach. Ty byłeś odpowiedzialny za to, że ten obiad się nie odbył. Może nawet nie ty tylko nieszczęsne polskie mleko. No to teraz wyznaj, jak zostałeś antymonarchistą.*

Jaaa?

---

*A kto storpedował obiad albo ściślej, nie wstydzmy się tego słowa, ucztę u królowej Małgorzaty. Cały kunszt monarszych kucharzy diabli wzięli. Zaplanowana na godzinę 17.00 biesiada nie doszła do skutku przez ciebie. Wzięłeś negocjatorów głodem.*

To prawda. Obiad się nie odbył, ponieważ na stole negocjacyjnym pozostało polskie mleko. Bardzo współczuję tym głodnym, ale nie mogłem ustąpić. Otóż Komisja Europejska proponowała Polsce zaledwie 7 mln ton hurtowej kwoty mlecznej czyli tyle ile przerabiałły polskie mleczarnie w roku 1999. My domagaliśmy się 11 mln ton.

---

*Oceniając obiektywnie Komisja Europejska nie brała tych danych z sufitu. W 1999 roku polskie mleczarnie skupiły i przerobiły około 7 mln ton mleka. Skąd ta liczba 11 mln ton. Czy nie przesadziłeś nieco z tymi żądaniem? Ani trochę. W 1989 roku, 10 lat wcześniej, przetwarzano w Polsce właśnie około 11 mln ton mleka, a całość produkcji szacowano na około 14 mln ton. Produkowano sery, masło, twarogi, kefir czyli wszystko co jest*



podstawą diety Polaka. Dodam tutaj, że potentatem w produkcji mleka był wtedy państwowy sektor rolnictwa. Ale wraz ze zmianą ustroju wiele państwowych i spółdzielczych gospodarstw upadło, a te które pozostały zmieniły właściciela i profil produkcji. W pogoni za zyskiem zrezygnowano z dziedzin pracochłonnych i mało dochodowych i Polska przestała być krainą mlekiem i miodem płynącą. Ponadto generalna bieda dokonała reszty i spożycie mleka i jego przetworów spadło znacznie. Ale 7 mln ton mleka w roku 2003 to byłaby absolutna katastrofa zarówno dla rolników jak i mleczarstwa.

---

#### ***Tymczasem około godziny 15.00 przedstawiciele Komisji Europejskiej zaproponowali Polsce kwotę hurtową mleka 7,2 mln ton.***

Nie mogłem przyjąć tego dyktatu. Uprzedziłem więc premiera Millera, że zaakceptuję wyniki negocjacji dopiero wtedy kwota hurtowa wyniesie 8,5 mln ton. Uzgodniłem tę ilość z dyżurującym w Warszawie ministrem Czesławem Siekierskim. O godzinie 16.00 dziewięć pozostałych państw kandydujących zakończyło negocjacje.

---

***Wiadomo „wyżerka” u królowej za godzinę, a nie można się spóźnić nawet na przystawkę.***

Tymczasem Leszek Miller toczył kolejne rundy z premierem Rasmussenem. Co jakiś czas przynosił nowe wiadomości. Najpierw Unia zgodziła się na 7,5 miliona ton. Potem nawet na 8 mln ton i tę informację przekazał mi osobiście przewodniczący Komisji Europejskiej Romano Prodi. Niestety musiałem sympatycznemu Włochowi także powiedzieć „nie”. Rozmawiałem po raz kolejny z ministrem Siekierskim, który radził, żeby nie ustępować. Wreszcie nasz premier powiedział do mnie, że 8 milionów to decyzja ostateczna i innej już nie będzie. Zaproponował głosowanie wśród członków delegacji sugerując mi wstrzymanie się od głosu, aby dać mi honorowe wyjście z sytuacji. Odpowiedziałem po raz kolejny „nie”.

---

***Używałeś chyba tego żądła „nie” częściej niż sowiecki minister Andriej Gromyko, którego w Organizacji Narodów Zjednoczonych nazywano minister „nie”.*** Porównanie niezbyt trafne, ja tego słowa używam stosunkowo rzadko. Ale 13 grudnia 2002 roku był wyjątkowym w moim życiu.

---

***I w tym dniu powiedziałeś też „nie” prezydentowi Aleksandrowi Kwaśniewskiemu.***

---

Przez pięć minut przekonywałem mnie, abym zgodził się na 8 mln, i jeśli nie będzie 8,5 mln ton, żebym nie podawał się do dymisji. Na pierwszą część sugestii odpowiedziałem faktycznie „nie”, na drugą wcale.

---

#### ***To chyba wtedy prezydent z premierem wymyślili ten dowcip o tobie i Wincentym Witosie?***

Tak. Prezydent Kwaśniewski i premier Miller dworowali sobie ze mnie. Tym razem ja zacytuję fragmencik z książki Millera „Tak to było”.

- Olek (...) może by ktoś do niego zadzwonił, wiesz ktoś z autorytetów...
  - Dobry pomysł. Niech Witos zadzwoni.
  - Myślałem o tym, ale Witos zgubił swoją komórkę.
  - To pożycz mu swoją, Olek, muszę kończyć.
- 

***Przyznasz, że dowcip mało dowcipny. W dodatku absolutnie chybiony historycznie. Gdyby bowiem obaj panowie przeczytali choćby w encyklopedii cokolwiek o Witosie to by wiedzieli, że facet był większym twardziellem niż ty, że bardzo źle myślał o socjalistach, zwłaszcza tych z komunistycznego zaciągu. Ale zostawmy Witosę i wróćmy do rzeczywistości z 13 grudnia 2002 roku.***

Przypomnę moją rozmowę z Leszkiem Millerem, która odbyła się około 18.00 wieczorem.

Leszek Miller: Muszę kończyć nie mogę przeciągać struny.

Ja: Twoja decyzja, znasz moje zdanie.

L. M.: Co powiesz dziennikarzom jak zamknę negocjację na poziomie 8 mln ton.

Ja: Powiem, że nie zgadzam się na karanie polskich chłopów za to, że nie dali się skołchozować.

L. M.: Co po powrocie do kraju? Co z koalicją i referendum?

Ja: Nie będzie koalicji i naszego (PSL) „tak” w referendum.

---

#### ***Gratuluje postawy. Szarżowałeś czy naprawdę byłeś przekonany, że Rasmussen „pęknie”?***

Oczywiście. I jedno i drugie. Szarżowałem, wierząc w sukces.

---

***To może należało walczyć o jeszcze wyższą kwotę?***

Myślę, że ten poziom był realny, więcej nie.

---

**Czy twoim zdaniem to, co osiągnęliśmy w Kopenhadze, nie było sukcesem?**  
Spójrzmy na Kopenhagę z perspektywy dziesięciu lat członkostwa w UE. Zobaczmy, jak pozytywnie zmieniła się i zmienia polska wieś i rolnictwo. W 2004 roku cały polski eksport rolno-spożywczy wynosił 5 mld euro, a w roku 2012 wartość tego eksportu wynosiła już 20 mld euro. Do tego mamy 5 mld euro dodatniego bilansu handlowego w tym obszarze. To pokazuje, że w negocjacjach uzyskaliśmy więcej niż ktokolwiek się w Polsce wtedy spodziewał.

**Na słynnej konferencji obwieszczającej sukces szczytu w Kopenhadze nie było widać Jarosława Kalinowskiego...**

Historia tej konferencji jest szczególna, a dla mnie miała ona dość nieoczekiwany i wręcz dramatyczny przebieg. Za chwilę miano ogłosić wielki sukces, dlatego każdy chciał zasiąść za stołem, w blasku fleszy. Wszyscy pędzili do salki konferencyjnej polskiej delegacji. Ja wraz z Grzegorzem Kołodko zostałem na zewnątrz. Uznano jednak, że powinienem być w środku. Dookoła tłum ludzi. Do salki prowadzili mnie ochroniarze. Wtedy niechcący nadziałem się na jakiś pręt. Wypadek wyglądał dość poważnie – krew się łała po nodze, po bucie. I tak nie załapałem się na miejsce obok premiera i nie uchwycono mnie „w kadrze”.

Podobno Tadeusz Mazowiecki oglądający w Warszawie relację z konferencji, fakt, że nie było mnie widać skomentował w słowach: „dzieje się coś niedobrego, bo nie ma Kalinowskiego na konferencji”. Sądził, że nie zaakceptowałem finalnego porozumienia.

**Co powiedziała Leszkowi Millerowi, gdy poinformował cię, że Rasmussen zgodził się kwotą mleczną 8,5 miliona ton?**

Złożyłem mu uznanie i podziękowanie za jego wytrwałość w dniu 13 grudnia 2002 roku. Ale nie zmienia to faktu, że rządząca wówczas lewica chciała skapitulować w sprawach rolnictwa na długo przed kopenhaskim szczytem.



## Prasa o szczycie w Kopenhadze

*Rzeczpospolita*, 14-15 grudnia 2002

**„To wynegocjowaliśmy w Kopenhadze”**

Największy sukces to zgoda „15” na pomysł kanclerza Gerharda Schroedera, aby przyspieszyć wypłatę miliarda euro, które mieliśmy otrzymać z funduszy strukturalnych dopiero po 2007 roku. Pieniądze te trafią bezpośrednio do budżetu państwa w 2005 i 2006 roku. Ponieważ w 2004 roku otrzymamy jako rekompensatę do budżetu prawie pół miliarda, łącznie Unia przekaże nam prawie 1,5 miliarda euro. Unia zgodziła się na zwiększenie o 108 mln euro (do 280 mln euro) specjalnego funduszu na uszczelnienie granicy wschodniej. (...) Wynegocjowane przez nas dopłaty bezpośrednie dla rolników wynoszą formalnie 55, 60 i 65 proc. w kolejnych trzech latach. Formalnie, bo część z nich będziemy musieli wypłacać z własnego budżetu. (...)

Do roku 2006 będziemy mieli prawo do produkcji 9,38 mln ton mleka. Unia zgodziła się by w ramach tej kwoty większy był udział mleka dostarczanego bezpośrednio mleczarniom (nie 7 a 8,5 mln ton) (...).

Unia zgodziła się, aby gospodarstwa, które dziś nie sprzedają na rynek, ale zamierzają to uczynić w najbliższych pięciu latach, mogły otrzymywać z Brukseli więcej pieniędzy – po 1250 euro rocznie, a nie 1000 jak do tej pory proponowano.

Polscy negocjatorzy otrzymali zgodę na utrzymanie do końca 2007 roku obniżonej stawki VAT na nowe mieszkania. Nie udało się wywalczyć niższej stawki VAT na sprzedaż maszyn dla rolników. Otrzymaliśmy jednak zgodę na uznanie kwalifikacji zawodowych pielęgniarek przez kraje „15”. Unia zgodziła się także zwiększyć limit produkcji izoglukozy o 6 tysięcy ton rocznie do blisko 26 tysięcy ton, ale kosztem ograniczenia w tej samej skali limitu produkcji cukru.

**„Unia zaprasza, Polska decyduje”**

Decyzja zapadła. To już nie deklaracje to czyn. Europa nas chce. Unia Europejska pragnie nas widzieć w swoim gronie. Swoją wolę poparła w Kopenhadze rozsądnymi decyzjami, także finansowymi. O tym czy zaproszenie to przyjmujemy, czy chcemy należeć do Unii zadecyduje polskie referen-

dum. Dla nas Polaków decyzja nie powinna być trudna. Dla jej podjęcia nie trzeba nawet odwoływać się do skądinąd słusznym hasła i emocjonalnych deklaracji o chwili dziejowej i historycznym wymiarze ani do wspomnień o czasach komunizmu.

Wystarczy na zimno zastanowić się w jakim miejscu jesteśmy teraz. A znajdujemy się niestety wciąż w przeszłości. Z winy historii, ale nie bez własnych zaniedbań. W wielu dziedzinach, szczególnie w gospodarce i poziomie życia ludności, krok, raczej kilka kroków za Europą.

Jest to dystans, który być może zdołalibyśmy odrobić sami, ale z pewnością ani za życia tego, ani kilku następnych pokoleń. Świat zmienia się zbyt szybko, Europa nie będzie na nas czekać, samotny wysiłek musiałby się okazać za wielki. A na dodatek trzeba by go dokonywać zgodnie z regułami gry, którzy inni ustalili dla siebie i dla nas ale bez naszego udziału.

Wchodząc do Unii Europejskiej możemy dokonać wielkiego kroku – przejść z przeszłości do współczesności czyli do Unii. Do jedynego miejsca, z którego prowadzi droga w przyszłość. Poza Unią jest oczekiwanie na cud. Ale my cudu nie potrzebujemy, ale europejskiej normalności.

Zespół Rzeczpospolitej

Kancelerz Gerhard Schroeder

*To był wielki dzień dla Europy i dla Niemiec. Możliwość uczestniczenia w tym wydarzeniu jest dla mnie wielkim przeżyciem. Dzięki mądrym propozycjom prezydencji duńskiej, przy współpracy z Komisją Europejską, udało się znaleźć rozwiązanie bez zbędnego naruszenia materialnych podstaw procesu rozszerzenia. To właśnie przyczyniło się do osiągnięcia dzisiejszego rezultatu. Wyszliśmy wprawdzie poza cyfrowe ustalenia z Brukseli, ale – mówiąc szczerze – moi współpracownicy uświadomili mi już poprzedniej nocy, że tego wymaga proces negocjacyjny. W sumie dyscyplina finansowa została zachowana.*

Gazeta Wyborcza, 12-14 grudnia 2002

„Przywódcy zdecydowali inaczej”

Decyzja, którą dziś podjęliśmy jest ważna dla wszystkich obywateli zarówno przyszłych jak i obecnych krajów Unii. Życie zwykłych ludzi w krajach, które porozumiały się z UE zmieni się, ale nie od razu. To będzie proces. Staniecie się Europejczykami i obywatelami swoich państw równocześnie – i nie ma w tym żadnej sprzeczności. Będziecie mogli poruszać się po całej Europie, poprawią się wasze możliwości gospodarcze, będziecie mogli bronić narodowej tożsamości, kultury.

Jeśli chodzi o te 2 miliardy, o których mówiłem przed szczytem w Kopenhague to mam jedno do powiedzenia: negocjacje skończyły się. Nie ma już żadnych pieniędzy do dania. Było wiadomo, że Komisja chciała by użyć (na rozszerzenie) wszystkich sum, które były przewidziane w budżecie w Berlinie w 1999 roku. Tak przygotowaliśmy proces negocjacji by pozostał margines na Kopenhagę. Oczekiwałem, że przywódcy Unii wykorzystają ten margines. Zdecydowali inaczej. Muszę to zaakceptować.

Nie lubię gdy nazywa się mnie dobrym wujkiem, bo w moim wyobrażeniu taki wujek jest trochę gruby, pali cygara i pije słabe wino. Nie mam o sobie takiego wyobrażenia. Jeśli Polska widzi mnie jako przyjaciela, partnera, kogoś kto jest pomocny, gdy trzeba pomóc to zgadzam się na tego wujka. A co będą robił jutro? Spa!

Gunter Verheugen

„Rzeczpospolita”, 19 grudnia 2002

Anders Fogh Rasmussen, premier Danii

*Byłem świadomy, że Miller gra. Ja też stosowałem fortele, bo chciałem się przekonać jak on zareaguje na tę propozycję. Kiedy Miller mówił o groźbie kryzysu rządowego w przypadku odmowy spełnienia postulatów, nie wierzyłem mu, dopóki moi eksperci nie zapewnili mnie, że tak istotnie jest. Mogła to być z jego strony zwykła taktyka negocjacyjna.*

*Kiedy porozumieliliśmy się w sprawie owej nieszczęśliwej kwoty mlecznej, wstaliśmy od stołu i wymieniliśmy długie, mocne, przyjacielskie uściski dłoni.*

*Spieraliśmy się ostro. Atmosfera nieraz była wręcz nieprzyjemna, ale powoli nabierałem respektu dla Millera. Wydaje mi się, że z wzajemnością. Zdawałem sobie sprawę, że nie mógł postępować inaczej.*

„Gazeta Wyborcza”, 14-15 grudnia 2002

Prezydent Aleksander Kwaśniewski

*Od 1989 roku wszystkie rządy pracowały na rzecz integracji Polski z Unią Europejską, choć z różną intensywnością. Ale to zasługa także tych, którzy otworzyli drzwi Polski do takich przekształceń. Trzeba by zacząć od gen. Wojciecha Jaruzelskiego, dla którego – mam nadzieję – dokonuje się pewien akt istotny – oto 13 grudnia on wybierał mniejsze zło, a dzisiaj 13 grudnia – my wybieramy większe dobro. Swoje zasługi ma i „Solidarność”, która kiedyś otwierała drzwi do Europy, i prezydent Lech Wałęsa i ludzie wszystkich obozów politycznych.*

„Rzeczpospolita”, 16 grudnia 2002

---

Prezydent Lech Wałęsa

Pytanie było tylko jedno: Kto powinien za rozszerzenie Unii więcej zapłacić? Z pewnością to Zachód zarobił na nas. To my Polacy zlikwidowaliśmy zagrożenie komunistyczne. Dzięki temu Zachód nie musiał i nie musi wydawać tak dużych pieniędzy na zbrojenia. Myślałem, że te pieniądze pójdą właśnie na wyrównanie różnych poziomów rozwoju spowodowanych istnieniem przez pół wieku żelaznej kurtyny.

Niestety, na wyrównanie poziomów i szans Zachód dał nam mniej niż powinien, szczególnie na rolnictwo. Trudno. Konieczność dziejowa sprawiła, że musimy być w Unii. Nie wszyscy z naszego pokolenia na tym skorzystają, bo nie wytrzymają tempa zmian i konkurencji. Na pewno skorzystają ludzie przebojowi, sprytni, otwarci na zmiany. Z pewnością na członkostwie w Unii więcej skorzystają nasze dzieci i wnuki.

„Rzeczpospolita”, 14-15 grudnia 2002

---

Były premier Waldemar Pawlak

Osiągnęliśmy więcej niż wydawało się nam dwa, trzy miesiące temu, że możemy osiągnąć. Okazało się więc, że to było możliwe. Gdybyśmy wcześniej założyli, że można wynegocjować jeszcze więcej, też byśmy w Kopenhadze osiągnęli.

Były premier Jan Olszewski

To, że UE doda trochę pieniędzy, było do przewidzenia. Nie zmienia to samego założenia, że zostaniemy przyjęci na zupełnie innych zasadach niż byli przyjmowani pozostali członkowie. To tworzy wewnątrz Unii podział na członków właściwych pierwszej kategorii i nowych – drugiej kategorii.

Warunki uzyskane w negocjacjach z UE nie gwarantują, że uzyskamy szansę na wyrównanie poziomu rozwoju gospodarczego z resztą Europy. Raczej odwrotnie, utrwali się podział na dwie strefy. To fatalne dla przyszłości Unii, Polski i Europy. Moim zdaniem, żaden z Polaków nie ma prawa zaakceptować takiego układu. Kiedy byłem premierem, problemem głównym było wprowadzenie z kraju wojsk rosyjskich i wejście do euroatlantyckiego układu bezpieczeństwa. Od kiedy znaleźliśmy się w NATO jesteśmy po tamtej stronie. Wchodzenie do struktur europejskich jest sprawą wtórną. Nie jest tak, że musimy wejść do Europy, bo inaczej pozostaniemy poza nią. My jesteśmy w Europie tak samo jak Norwegia, która nie jest członkiem UE.

Były premier Tadeusz Mazowiecki

Wejście do Unii Europejskiej jest ostatecznym zamknięciem podziału Europy, podziału jałtańskiego. Polsce daje to szansę na wyrównanie poziomu cywilizacyjnego z Europą Zachodnią. Ten podział trwa dłużej niż od czasu wprowadzenia w Polsce komunizmu.

Jest to wielka szansa, którą powinniśmy wykorzystać. Sądzę, że społeczeństwo polskie jest w stanie to zrobić. Trzeba wziąć przykład z Irlandii. Niebawem nadejdzie czas podjęcia ostatecznej decyzji. Podejmie ją naród w głosowaniu referendalnym. Najważniejsze jest, by była duża frekwencja, by wszyscy zrozumieli, że mają głos w tej sprawie, że współdecydują. Żeby w referendum udział wzięli zarówno ci, którzy są za i jak ci, którzy są przeciw. Ci, którzy się wahają, powinni zrozumieć, że w historycznym momencie naród podejmuje decyzję, przez obecność na głosowaniu, nie przez nieobecność.

„Rzeczpospolita”, 16 grudnia 2002

---

Jan Nowak – Jeziorański

Ktoś porównał znaczenie naszego wejścia do Unii Europejskiej z datą chrztu Polski. To nie przesada bo w chwili chrztu weszliśmy do Europy. Przyjęliśmy chrześcijaństwo z Rzymu i nasze całe dziedzictwo jest przepojone wpływami Europy. W sensie kulturowym należymy do Europy Zachodniej nie od dziś i nie potrzebujemy się o to ubiegać. Jednak myśmy także na to wspólne europejskie dziedzictwo wpływali.

Do Europy przez chrzest, wprowadził Polskę jeden człowiek – Mieszko I. Dziś tam wprowadzi nas trzydzieści osiem milionów ludzi, a raczej wszyscy ci obywatele, którzy mają prawo głosowania w referendum. Według mnie referendum w sprawie przystąpienia do Unii Europejskiej będzie miało znaczenie w skali tysiąclecia. To będzie przyłączenie Polski do obszaru dobrobytu.

„Zielony Sztandar”, 22-29 grudnia 2002

„Granice kompromisu”

---

Kopenhaski szczyt budził emocje wielu milionów Polaków, którzy z jednej strony czują się mocno związani z Europą, a z drugiej obawiają się ekonomicznych następstw wejścia do europejskiej Wspólnoty. W przededniu kopenhaskiego szczytu w Lublinie manifestowali rolnicy, którzy jak dotychczas nie tylko ponosili niemałe koszty transformacji ustrojowej w Polsce, ale mieli uzasadnione obawy, że warunki proponowane przez UE postawią ich na straconych pozycjach europejskiego rynku rolnego.

Wysokość dopłat do rolnictwa w krajach piętnastki sprawi, że każdy litr mleka, każdy kwintal zboża, ziemniaków czy kilogram mięsa pochodzący z Polski będzie kosztował drożej niż w krajach Unii. A kto będzie chciał kupować towary droższe, mając pod ręką tańsze. Co więcej, Unia określając limity produkcji stawia Polskę w pozycji importera na przykład mleka, którego jak dotychczas nam nie brakuje.

Protesty rolników dotyczą więc sprawy bytu polskiego rolnictwa i nic dziwnego, że PSL od dawna zabiega o najkorzystniejsze warunki wejścia do Wspólnoty.

*– Polityczną odpowiedzialność wzięłem na siebie przyjmując funkcję wicepremiera i ministra tego rządu. Musimy znaleźć granicę kompromisu i wzajemnych ustępstw. Granicę tę określimy wyraźnie – powiedział w jednym z wywiadów wicepremier, prezes PSL i minister rolnictwa Jarosław Kalinowski.*

*Egzystencja Polski poza Unią Europejską to utrudniony dostęp do nowych kosztownych technologii i kapitałów, bez czego trudno liczyć na rozwój, a z drugiej strony załamanie się koncepcji zjednoczonej gospodarczo Europy zdolnej konkurować w gospodarce światowej. Wejście Polski do UE nie może drastycznie pogorszyć sytuacji gospodarczej kraju. Gdzie więc znajdują się granice kompromisu?*

„Rzeczpospolita”, 16 grudnia 2002

„Europa o Kopenhadze”

#### Słowacja

Słowackie media zauważają, że „tylko dzięki zdecydowanemu stanowisku Polski także Słowacja uzyskała dodatkowe środki od UE”. Przypomnijmy – dodatkowe pieniądze podzielono następująco: Czechy 83,1 mln, Węgry 55,9, Malta 54,3, Słowenia 48,7, Słowacja 22,7, Litwa 12,6, Cypr 10,1, Łotwa 6,8 i Estonia niecałe 5,8 mln euro. Polsce przysługuje miliard euro.

#### Litwa

„Negocjacje zakończone”, „Dla Litwy zostały otwarte drzwi do elitarnego klubu”, „Świąteczny prezent od Unii Europejskiej” – to tytuły litewskich dzienników. Litewska prasa akcentuje, że w wyniku ostatecznych negocjacji Litwa od Unii otrzymała dodatkowe pieniądze. „Świętym Mikołajem okazał się kanclerz Niemiec Gerhard Schroeder” – powiedział dziennikowi „Lietuvos Rytas” minister spraw zagranicznych Litwy Antanas Valionis.

Politycy i komentatorzy kwestionują rolę Polski w wywalczeniu dodatkowych pieniędzy. Jedynie dziennik „Republika” pisze, że „dzięki zdecydowa-

nemu stanowisku Polski wygrali też inni kandydaci”.

#### Czechy

Wdzięczności wobec Polski nie czują Czesi. Uważają, że dodatkowe 10 milionów zyskali dzięki swym – jak to określają czeskie agencje – „bezczelnym rozmowom”. „Określona nieustępliwość w Unii Europejskiej się opłaca. Czescy negocjatorzy to zrozumieli” – napisał komentator prestiżowego dziennika „Ludove Nowiny”.

Największy czeski dziennik „Mlada Fronta Dnes” napisał jednak krytycznie: „Zasłona stworzona z banknotów euro przysłoniła nam oczy i zaciemniła mózg, uniemożliwia nam widzenie spraw, które widzieć powinniśmy. Jednak jeśli rzeczywiście do Unii Europejskiej prowadzą nas jedynie pieniądze, lepiej tam nie wstępować”.

#### Niemcy

„Kelner Stadt-Anzeiger” napisał: „Polska twardo grała w pokerowej rozgrywce na szczycie UE w Kopenhadze – i wygrała. Z zaliczką jednego miliarda euro (...) premier Miller może występować w roli konsekwentnego obrońcy narodowych interesów”.

#### Francja

„Końcowe negocjacje graniczyły z psychodramą” – napisał w sobotę francuski dziennik „Le Figaro”. Zdaniem gazety polscy negocjatorzy „opuszcili rozmowy prawie usatysfakcjonowani”.



## Koniec koalicji SLD-UP-PSL

*Jak to się stało, że koalicja SLD-UP – PSL mimo niewątpliwych unijnych sukcesów nie przetrwała próby czasu? Rozpadła się 1 marca 2003 roku.* Koalicja się nie rozpadła. Zostaliśmy z niej wypchnięci. Zgrzytało w tej koalicji przez cały czas, bo przecież nie ułatwiałem nikomu życia zwłaszcza w czasie rokowań kopenhaskich walcząc o podstawowe prawa rolników. Ale i potem z wieloma decyzjami SLD było nam nie po drodze. Chcieliśmy udowodnić, że trzeba nas traktować poważnie, a nie używać tylko jako maszynki do głosowania. Nasze głosowanie przeciw winietom było dla Leszka Millera nie do przyjęcia w ramach współdziałania koalicyjnego i tak nastąpił ten polityczny rozwód. Wbrew temu, co twierdzi Leszek Miller, to my zdecydowaliśmy o opuszczeniu koalicji, a głosowanie w sprawie winiet było tylko pretekstem (przecież wcześniej, na etapie prac nad projektem, nie zgłaszaliśmy żadnych uwag).

*Czy rządzący nie bali się, że chłopci w odwecie zagłosują negatywnie w referendum unijnym 7-8 czerwca 2003 roku?*

Raczej nie było takiego zagrożenia. Wszystko co było możliwe, wieś i rolnictwo uzyskało w ostatnim dniu negocjacji w Kopenhadze – 13 grudnia 2002 roku. A koalicja z SLD miała wśród nich tyluż zwolenników co przeciwników.

*Ale wicepremier Kołodko buńczucznie zapowiadał, że nie ma pieniędzy na dopłaty dla rolników z krajowego budżetu. W „Gazecie Wyborczej” czytamy kuriozalną wypowiedź wicepremiera Grzegorza Kołodki: „W budżecie nie ma na to środków. Ani w 2004 roku, ani w następnych latach nie dostrzegam tej możliwości. A gdyby tak miało być, to kosztem czego – dodatków mieszkaniowych, wspierania regionalnego wschodnich regionów Polski, finansowania restrukturyzacji niektórych starych przemysłów, dofinansowania uczelni artystycznych, czy może poprawy służby zdrowia”.* Nie po raz pierwszy i z pewnością nie ostatni, minister finansów mija się z oceną rzeczywistości. To co zaprezentował wicepremier i minister finansów Grzegorz Kołodko należy nazwać populizmem, bądź skrajną fobią chłopską. Dodam jednak, iż Grzegorza Kołodkę z jego „Strategią dla Polski” oceniałem i oceniam pozytywnie.

*Od kopenhaskich negocjacji minęło ponad 10 lat. Czy wywalczone tam chłopskie „zdobycze” obowiązują do dzisiaj?*

Tak. Kwoty mleczne obowiązują do roku 2015, po tej dacie będzie można produkować i przetwarzać każdą ilość mleka. Byle tylko znalazł się kupiec na wytwarzane produkty. Od 2016 roku będzie też wolny obrót ziemią, ponieważ minie już 12-letni okres przejściowy, ale normy obszarowe, preferencje dla „sąsiadów” z gminy i prawo pierwokupu ziemi rolnej przysługujące Agencji Nieruchomości Rolnych zostanie. Chłopi mają już pełne dopłaty bezpośrednie, chociaż otrzymują mniejsze kwoty, niż ich koledzy we Francji czy w Holandii, ponieważ tamci korzystali z wyższego plonu referencyjnego. Nam przyznano w Kopenhadze zaledwie 3 tony z 1 ha. Jeśli jednak zsumujemy środki z dopłat i z II filara oraz weźmiemy pod uwagę to, że ze środków na modernizację korzystają rolnicy mający kontakt z rynkiem to wsparcie w Polsce, w porównaniu do Niemiec i Francji, jest wyższe.

*Oczywiście zawsze mogło być lepiej. Ale chyba te warunki, które wywalczyłeś 13 grudnia 2002 roku Kopenhadze pozwoliły polskiemu rolnictwu na właściwy rozwój, na zmiany modernizacyjne, a może nawet na nawiązanie konkurencji z rolnictwem dawnej Unii.*

Chyba jeszcze nie jesteśmy do końca konkurencyjni, ale dystans między naszymi rolnikami, a tymi, którzy orzą i sieją we Francji, Niemczech i Danii już się nie zwiększa a nawet w niektórych dziedzinach maleje. Jesteśmy na przykład największym na świecie eksporterem jabłek, największym w Unii Europejskiej producentem owoców miękkich i największym w Unii Europejskiej eksporterem mięsa drobiowego. Jesteśmy też w czołowie produkcji, przetwórstwa i eksportu mleka i przetworów mlecznych. W tych dziedzinach już dogoniliśmy a może nawet prześcignęliśmy Europę.

*Wróćmy jeszcze na chwilę do rozpadu koalicji. O tym politycznym rozwodzie zadecydowały nie tylko sprawy związane z negocjacjami.*

Przypomnę choćby trzy, ale dla nas, Polskiego Stronnictwa Ludowego, bardzo ważne sprawy. Pierwsza dotyczy ustawy o produkcji biopaliw. Polska była pierwszym państwem w Europie, gdzie taką ustawę uchwalono. Każdy litr benzyny i oleju napędowego od roku 2004 miał zawierać co najmniej 4,5% biokomponentów. Koalicja w Sejmie i Senacie tę uchwałę przyjęła. I tu włączyło się lobby paliwowe z całą kampanią antybiopaliwową. W całej Polsce ukazały się plakaty „Bio-bubel” przedstawiające mnie (zamiast włosów z głowy wy-

rasłał mi rzepak) oraz sponsorowane „eksperckie” artykuły przekonujące, że silniki samochodów będą się zacierać. Przypominam, prezydent Kwaśniewski ustawę zawetował i weto głosami SLD zostało przyjęte, ja odebrałem to jako jawną zdradę wcześniejszych ustaleń i zobowiązań. Okazało się, że dziś przestały szkodzić. Czasem zastanawiam się, gdzie się podzieli dzisiaj ci „eksperci” i „profesorowie”, którzy jak sądzę, za pieniądze pisali te krytyczne artykuły.

---

*Niektórzy z tych „eksperców” na pewno chwalą biopaliwa. Cóż tylko krowa nie zmienia poglądów. Ale mówiłeś o dwóch innych sprawach. Druga dotyczyła z pewnością interwencji na rynku wieprzowiny.*

Oczywiście. Ceny uzyskiwane przez rolników były dramatycznie niskie. Agencja Rynku Rolnego uruchomiła skup interwencyjny na poziomie 30 – 40 tys. ton. W rozmowach z przedstawicielami związków, Kółek Rolniczych, Samoobrony oraz branżowców ustaliłem, że ceny interwencyjne wzrosną o 10 groszy. Należało uruchomić rezerwę Ministerstwa Finansów w kwocie 4 mln zł, by to zrealizować. Premier Leszek Miller w mojej ocenie z premedytacją tę decyzję odkładał.

I tu przejdę do trzeciego problemu. Związkowcy z województwa wielkopolskiego zabiegali o spotkanie ze mną w Poznaniu. Odpowiedziałem, że do Poznania pojedę po uruchomieniu przez Rząd i Ministerstwo Finansów wspomnianej rezerwy w kwocie 4 mln zł. Premier Miller poprosił mnie jednak abym z Markiem Wagnerem udał się na to spotkanie do Poznania, deklarując, że rezerwa będzie uruchomiona.

W Poznaniu, miejscowi aktywiści Samoobrony, w porozumieniu z Januszem Maksymiukiem i śp. Andrzejem Lepperem (o czym jak się później okazało wiedział Marek Wagner, rozmawiał telefonicznie z Maksymiukiem, ale poinformował mnie o tym po zdarzeniu), przygotowali przyjęcie „jajeczne”. Co prawda jaja posypały się w czasie „przemowy” Wagnera, ale media poinformowały inaczej, że to ja oberwałem. Byłem i jestem przekonany, że Leszek Miller też wiedział o wszystkim i dlatego zabiegał o mój wyjazd, wyświadczając „przysługę” Andrzejowi Lepperowi. To było dla mnie przekroczeniem wszelkich możliwych norm współdziałania w koalicji i zwykłych ludzkich norm przyzwoitości.

Decyzję o głosowaniu przeciw „winietom” zarekomendowałem Naczelniemu Komitetowi Wykonawczemu naszego Stronnictwa, a po przyjęciu tej propozycji Klubowi Parlamentarnemu. Motywacja były taka: trwanie w tych warunkach w koalicji jest niemożliwe, ale źle byłoby odebrane i nie można było ogłosić publicznie zerwania koalicji przed referendum akce-

syjnym, narażając Polskę na rząd mniejszościowy z powodu „10 groszy” za kilogram żywca w skupie. Winietę wydały się lepszym pretekstem, a razem decyzję o rozpadzie koalicji miał podjąć koalicjant. Patrząc dziś na to z jaką butą i pyszałkowatością mówi o tym zdarzeniu Leszek Miller, który twierdzi, że wyrzucił PSL z koalicji za nielojalność, myślę, że forma rozstania jaką wybraliśmy była słuszna. Minister Rolnictwa Adam Tański w dniu objęcia urzędu dostał wspomniane 4 mln zł na zwiększenie cen interwencyjnych.

---

*Sądzę, że pracowaliście i tak dostatecznie długo z Millerem. Niektórzy partycypanci z SLD odchodzili znacznie wcześniej, chociażby profesor Marek Belka.*

Oczywiście to nie przypadek, że dziś w kręgu Millera nie ma między innymi Aleksandra Kwaśniewskiego, Marka Borowskiego, Włodzimierza Cimoszewicza, Danuty Hubner, Dariusza Rosatigo, Marka Siwca i Ryszarda Kalisza. Tu nie chodzi tylko o różnice poglądów. Zwykła ludzka przyzwoitość, w polityce również powinna obowiązywać.



## Najdłuższy dzień mojej pracy

Rozmowa z dr Czesławem Siekierskim

**13 grudnia i piątek. Nie można było wybrać lepszego dnia na końcówkę negocjacji związanych z wejściem do Unii Europejskiej Polski i 9 innych państw?**

Każdy dzień jest dobry na negocjacje. „13” nie zawsze jest pechowa, prezydent Stanów Zjednoczonych Thomas Woodrow Wilson (1856-1924) uważał tę liczbę, dla siebie przynajmniej, za szczęśliwą. Piątek z kolei nie tylko dla Polaków bywa podobno pechowy. Pamiętajmy: jest to dzień śmierci Jezusa Chrystusa. Druga wojna światowa wybuchła w piątek 1939 roku. W średniowieczu piątek był dniem katowskim. Wykonywano egzekucje. Ale są kraje (Skandynawia), w których piątek jest dniem szczególnie szczęśliwym. Zresztą czy można było wybrać datę, która by się nikomu źle nie kojarzyła.

**Tym razem ten 13 i piątek dla Polski nie był najgorszy. Osiągnęliśmy sukces w negocjacjach.**

Jarosław Kalinowski twierdzi, że nie był to sukces tylko przyzwoity wynik. Osiągnęliśmy sporo, choć mogliśmy więcej.

**Mogliśmy też mniej.**

Chyba nie. Zaraz to wyjaśnię.



**Dlaczego 13 grudnia spędziłeś w Warszawie, a nie w Kopenhadze?**

Za późno zgłosiłem się na wyjazd. Premier Leszek Miller oświadczył wtedy, że nie ma już szans na załatwienie niezbędnych formalności. I tak zostałem w Warszawie. Urzędowałem w gabinecie szefa, i był to najdłuższy dzień mojej pracy. Chyba ze 20 godzin.

**Czy w Kopenhadze byłbyś bardziej potrzebny?**

W zasadzie nie. W epoce telefonów komórkowych i Internetu miałem ciągły kontakt z wicepremierem Kalinowskim.

**Udzielałeś jakichś rad szefowi?**

Nie. Wicepremier był perfekcyjnie przygotowany do negocjacji. Miał wszystkie sprawy w małym palcu. Ja co najwyżej dodawałem szefowi otuchy w zmaganiach o sprawy polskich rolników.

**Przypomnij jakąś rozmowę ze zwierzchnikiem?**

Jak szef zatelefonował do mnie po raz pierwszy powiedziałem pół żartem, pół serio: „Jarek, jeśli ustąpisz to pamiętaj nie wracaj do Warszawy tylko od razu do Jackowa, bo to będzie całkowity koniec koalicji, ale może i PSL”. Usłyszałem w odpowiedzi, żebym się nie martwił, że na pewno będzie walczył.

**Jarosława Kalinowskiego nie łatwo jest złamać.**

Tak! Polityk ten ma dwie ważne, wcale nie tak częste cechy, jest uparty i uczciwy.

**Ale czy premier Danii Anders Fogh Rasmussen, który ciągle słyszał nowe postulaty polskiej delegacji nie mógł się wnerwić i powiedzieć dość: Nie przyjmujemy was do wspólnoty.**

Nie. Spójrz na mapę. Polska jest obszarowo zaledwie o 100 tys. kilometrów kwadratowych mniejsza od wszystkich pozostałych dziewięciu kandydatów. Nie przyjęcie Polski do Unii byłoby kompromitacją Danii i osobiście Rasmussena. Kiedy kierowałem organizacją FAPA (Fundacja Programów Pomocy dla Rolnictwa) zatrudniałem jako doradców duńskich ekspertów. Jeden z nich współpracował wcześniej z Rasmussenem. Mówił o nim między innymi i to, że uparcie dąży do celu i jest żądny sukcesów. Gdyby Polska nie została przyjęta do Unii byłaby to jego wielka przegrana.



*Skoro tak to może powinniśmy wytargować więcej. Występowaliśmy o 11 mln ton kwoty mlecznej, dostaliśmy 8,5 i to rzutem na taśmę. Nie otrzymaliśmy zwiększonego plonu referencyjnego, na dopłaty bezpośrednie musieliśmy wykorzystać częściowo pieniądze z polskiego budżetu.*

Niewykluczone, że mogliśmy „ugrać” znacznie więcej. Trzeba było jednak wcześniej się o to się starać i powalczyć. Ale ówczesny rząd postępował wyjątkowo ostrożnie, na wszystko czego chciała Bruksela się zgadzał i szedł po jak najmniejszej linii oporu. Blokował konstruktywne propozycje Jarosława Kalinowskiego bojąc się, że „15” się obrazi i skreśli nas z listy kandydackiej.

Czy wiesz, że w Kopenhadze były zarezerwowane miejsca hotelowe, na wypadek gdyby nie dogadano się 13 grudnia. Bo przecież na 13 grudnia świat się kończył. Można było negocjować jeszcze dłużej, może nawet do Bożego Narodzenia.

---

*Ale 13 grudnia 2002 roku zakończono negocjacje. Polska miała już otwartą drogę do Unii. Teraz zależało już tylko od społeczeństwa, które mogło powiedzieć „tak” w referendum, choć nie musiało. Delegacja wróciła do Warszawy grubo po północy, odbyło się jeszcze posiedzenie Rady Ministrów i spotkanie u prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. A potem w gabinecie wicepremiera Kalinowskiego „balowaleś” jeszcze z działaczami Stronnictwa i wspólnie fetowaliście, ten, nazwijmy to, sukces.*

Oczywiście. Chociaż ma rację wicepremier, że nie był to epokowy triumf, tylko przyzwoity wynik, który byłby o wiele gorszy, gdyby nie determinacja i upór Jarosława Kalinowskiego. Wypiliśmy za ten dobry wynik. I nagle odwiedził nas niespodziewany gość. Był to Adam Michnik, który przyszedł podziękować ministrowi Kalinowskiego za jego osiągnięcia w Kopenhadze. Michnik napił się z nami i było to moje jak dotąd jedyne spotkanie z tym ciekawym politykiem.

---

***Polska jest już w Unii 10 lat. Z perspektywy tej dekady można chyba być przekonany, warto było wtedy powalczyć w Kopenhadze.***

Na pewno. Wystarczy pojechać za rogiatki Warszawy, aby zobaczyć jak zmieniła się polska wieś. A zaczęło się to na dobrą sprawę właśnie wtedy w Kopenhadze.

Dr Leszek Leśniak

## C hłop myśli po chłopsku

Jarosław Kalinowski to chłopski polityk z całym bagażem mentalnym klasy, która schodzi na karty historii. Schodzi, ale jakość zejść nie może. Całe społeczne obszary polskiej wsi nadal są chłopskie i jeszcze „trochę” pozostaną. Mimo, że wielu chciałoby już o chłopach w Polsce mówić w czasie przeszłym. Rolnik – to brzmi bardziej nowocześnie. Bardziej „pasuje” do współczesnej Europy. Chłop zaś, to trudny do zdefiniowania przypadek, jakoś tak nie pasuje, ani do Europy, ani do XXI wieku.

Chłop myśli po chłopsku, kieruje się rozumem i wartościami nie zawsze akceptowanymi przez nie chłopów. Wie czego chce, ma cele i z uporem dąży do ich realizacji. Z uporem, to nie znaczy „na oślep”, tylko rozważnie i konsekwentnie. Często w tym dążeniu pozostaje osamotniony. Gdy cel osiąga – ma wielu „przyjaciół” gdy celu nie może osiągnąć – ma wielu życzliwie litościwych nieprzyjaciół. I tak to już jest, bez względu jakim „językiem” byśmy nie opisywali tej rzeczywistości.

Kalinowski to ważny „świadek” stawania się Polski integralną częścią Unii Europejskiej. Świadek historycznego kompromisu jaki polscy chłopci sami ze sobą zawierali, i Kalinowski w tym kompromisie ma swój udział, udział wartościowy.

Wartość może wyrażać choćby taki fragment Jego wypowiedzi: *Aktywny udział w negocjacjach możliwy jedynie w koalicji rządowej traktowaliśmy więc jako nasz święty obowiązek wobec polskiego chłopca. Nie mogliśmy pozwolić aby polski chłop miał wchodzić do Unii jako obywatel drugiej kategorii.*

Miller chciał „przejąć” do historii jaki ten, który swym podpisem wprowadził Polskę do UE. Kalinowski nic nie chciał – rozumiał, że Polska może się rozwijać cywilizacyjnie będąc pełnoprawnym członkiem wspólnoty europejskiej. Wiedział, że na integracji polscy chłopci, rolnicy, polska wieś zyska. Ważył zatem te zyski, a nie swoje ambicje – mimo, że jest ambitny – tak zwyczajnie po chłopsku, rozsądnie, z namysłem i zatroskaniem.

Dla takich polityków ważne jest jądro sprawy a nie pozory. Tyle, że pozory są jak błyskotki – nęcą, jądro ciąży wagą argumentów. Takie rozróżnienie jest potrzebne aby zrozumieć taki sobie fackik jak „Pakt na rzecz integracji z Unią Europejską”. Bez znaczenia, bez ciężaru gatunkowego, ale nęcący – ładnym

brzmieniem i tyle, tylko tyle.

Integracja – w przekonaniu ludowców, w tym Kalinowskiego to było wyzwanie. Wyzwanie, szansa, obowiązki i trudności... Nie można tego procesu, tak, tak procesu – zwłaszcza wśród chłopów, rolników i mieszkańców wsi opisać tak zwyczajnie, bez emocji, bez refleksji w kontekście historycznym, ale również przyszłości, tej najbliższej i dalszej, lepiej przewidywalnej i słabo przewidywalnej. Na ten proces nakładały się problemy kraju, jego zdeintegrowana tkanka społeczna, rozbieżne interesy ekonomiczne różnych środowisk i co nie bez decydującego znaczenia różnorodność ideologiczna. Ideologia wówczas więcej znaczyła niż dzisiaj. Dzisiaj ważna jest polityka – walka o władzę i jej utrzymanie. Kalinowski był, no może bywał i jest, może bywa ideologiem. Mimo, że w Polsce trudno, bardzo trudno jest być ideologiem, czyli wizjonerem, przewidującym skutki decyzji, które się kreuje lub, w których się współuczestniczy.

**Jestem pewny, no prawie pewny, że dla Kalinowskiego idee są ważniejsze niż kolejna kadencja w Parlamencie Europejskim. Znaczenie tej kadencji podporządkowane jest w pewnym sensie idei służenia sprawie polskiej wsi.**

Czy coś takiego jeszcze da się zidentyfikować, jak sprawa polskiej wsi? W kontekście tezy, znów cytuję z wywiadu: *Przez pazernych chłopów nie przyjmą nas do Unii* – sprawa była, i to poważna. Jeżeli się czegoś nie rozumie, albo nie chce zrozumieć, co z czasem przeradza się w przekonanie, że jest tak jak tego nie akceptujemy. Polski chłop ani nie był pazerny bardziej niż inne środowiska zawodowe, ani też nie stał w poprzek drogi do integracji europejskiej. Chciał tylko dowiedzieć się i zrozumieć o co w tej integracji chodzi. W miarę jak się dowiadywał – to zmieniał swoje nastawienie do integracji.

Niestety inni, nie chłopci, nadal nie rozumieją i nie chcą zrozumieć na czym polega sprawa polskiej wsi.

W tym wywiadzie Kalinowski spokojnie, choć dosadnie, objaśnia wiele kwestii, które wydawać by się mogło są oczywiste. A jednak, dla wsi, dla chłopów, rolników nadal czasy są trudne, niestabilne, nieprzyjemne. I nie o to chodzi by wsi i chłopów bronić... Są taką siłą, że się obronią sami, ale potrzebna jest im samym wiedza o świecie i nich samych oraz wiedza dla świata o nich.

Czy są tacy, którzy zechcą jeszcze objaśniać świat polskiego chłopca? Czy są tacy poza ich światem? Chyba nie... A szkoda, bo to duża strata dla tych wszystkich, których chłopci drażnią, a wieś wabi. Wabi swą świeżością, urokiem tradycji i bogactwem kultury, a także przyrodą i wieloma innymi atrakcjami.

Gospodarzem tych atrakcji jest polski chłop, w sensie symbolicznym, ale również w jakiejś mierze rzeczywistym. To też aż się chce przytoczyć kolejny

cytat z wypowiedzi Kalinowskiego: *Chłop polski obronił swoją ziemię w czasach komuny, więc pragnie ją chronić i teraz w Unii*. Chronić – bo to wartość i sens jego doczesnego bytu.

Czy Polska „musiała” za wszelką cenę zostać członkiem UE? Dziś łatwo dywagować. Ale wówczas, gdy toczył się spór o nasze miejsce w jednoczącej się Europie było to ważne, bardzo ważne pytanie!

Kalinowski twierdzi, że: *Nasze wejście do Unii nie było zagrożone ani przez moment tylko chciano nas taniej kupić. Ale i tak nie zapłacono za nas zbyt wygórowanej ceny*. Warto się zastanowić nad tym, uwzględniając ówczesne uwarunkowania wewnętrzne i zewnętrzne.

Dziś chciałbym zawyrokować: To Europie bardziej niż Polsce zależało na integracji. Mogliśmy więcej zyskać, mogliśmy dyktować warunki... Mam jednak świadomość, że tak nie wolno ani mówić, ani nawet myśleć. Integracja to proces partnerski i Kalinowski nam o tym mówi – pokazuje różnorodność uwarunkowań i mimo, że jak polski chłop jest w swych poglądach trwały, a w postawach uparty, to nie ma w Nim ani zbędnej buty, ani nie można Mu zarzucić arogancji – tak powszechnej dziś wśród polskiej klasy politycznej.

Jaka była rzeczywista rola Kalinowskiego we wprowadzaniu Polski do UE i polskiego chłopca niech sobie każdy sam odpowie.

## PODZIĘKOWANIE

*Dobry wynik negocjacyjny w Kopenhadze był również udziałem moich współpracowników. W tym miejscu chciałbym jeszcze raz złożyć im moje wielkie podziękowania.*

*Pragnę podkreślić, że znakomicie były przygotowane zespoły problemowe w ministerstwie rolnictwa i w instytucjach w otoczeniu rolnictwa w agencjach, inspekcjach, instytutach naukowych. Zespoły analityczne skupione były w Fundacji Pomocy dla Rolnictwa FAPA, która wykorzystywała środki unijne na przygotowanie Polski do integracji.*

*Nie wymienię zapewne wszystkich, ale chcę wspomnieć dra Czesława Siekierskiego, sekretarza stanu w ministerstwie rolnictwa, dra Jerzego Plewę wiceministra rolnictwa, głównego negocjatora w obszarze gospodarki rolnej oraz Władysława Piskorza, Zofię Krzyżanowską, Marię Zwolińską.*

*To był naprawdę dobrze przygotowany, duży zespół. Nic więc dziwnego, że wszyscy byli zaskoczeni profesjonalnym przygotowaniem do negocjacji. Wielu wciąż jest zaskoczonych tym, że to właśnie rolnicy należą do tych, którzy najlepiej wykorzystują środki unijne i są dobrze przygotowani do spełniania wysokich standardów jakościowych, które obowiązują w Unii Europejskiej.*

Jarosław Kalinowski





